CENA 2 ZŁ

BIAŁYSTOK KIELCE LUBLIN RZESZÓW

Kamena

LUBLIN 15.V.1966 Nr 9 (342) R. XXXIII DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY Wychodzi od 1933 r.

Jutro matura... Fot. Andrzej Polakowski

Białystok -sportowe przedszkole

PAWEŁ KOWALSKI

POKRYWA śnieżna utrzymuje się nie tylko w Suwałkach i Gołdapi, ale niemal na całej Białostocczyźnie tak długo jak w Zakopanem. Natura obdarzyła też północ Białostockiego (Augustów, Ełk, Suwałki, Olecko, Gołdap) licznymi jeziorami. W naszym surowym, ostrym klimacie wyrastają ludzie zdrowi, silni. Wspaniały materiał na dobrych sportowców w wielu dyscyplinach.

— To na pewno kraina wyśmienitych atletów, sztangistów, narciarzy, łyżwiarzy, hokeistów i wodniaków, rekordzistów i mistrzów kraju, baza olimpijczyków — pomyśli zagraniczny turysta, miłośnik sportu, który w drodze do Białowieży bądź Augustowa nie zdąży zamienić kilku słów na ten temat z polskim entuzjastą sportu. Bo ten ostatni, obeznany z tabelami I ligi, sprowadziłby go na ziemię. Powiedziałby mu, że na Białostocczyźnie nie ma I-ligowych sztangistów, zapaśników, hokeistów, że kajakarze, wioślarze i żeglarze raczkują, że, owszem, narciarze biegowi w skali województw nizinnych coś znaczą, ale gdzie im tam mierzyć się z zakopiańczykami!

Białostocki kibic sportowy, obdarzony pamięcią, uzupełniłby te informacje:

— Żadnych drużyn poza brydżystami „Jagiellonii" w I lidze, nie mamy. Cały nasz stan posiadania to zaledwie trzy zespoły w II lidze — lekkoatleci „Jagiellonii" i „Podlasia" oraz bokserzy „Gwardii" Białystok. Ale za to narybek mamy bardzo dobry. Zajmujemy w kraju czołowe pozycje w kategorii młodzików i juniorów. Mamy mistrzów i wicemistrzów Polski wśród młodych łyżwiarzy, narciarzy wodnych, w boksie i dżudo, mieliśmy w szermierce Pręgowskiego i Kopczyńskiego. Nasi uczniowie i uczennice zajęli w II Zimowych Igrzyskach Młodzieży Szkolnej w Zakopanem wysokie, czwarte miejsce. Gimnastycy szkolni przywieźli ze Szczecina tytuły mistrzów Polski SZS. Młodzieżowa piłkarska reprezentacja okręgu przewodzi po pierwszej rundzie bez porażki swojej grupie rozgrywkowej o puchar Spartakiady Tysiąclecia; dopiero dalsze miejsca zaj-

(Dokończenie na str. 4)

Dni Oświaty, Książki i Prasy

KONKURENCI?

LESŁAW GNOT

HISTORIA się powtarza. Ten truizm nieodparcie nasuwa się pod pióro przy każdej próbie dokonania chociażby pobieżnego przeglądu rozwoju prasy oraz radia lubelskiego w ciągu ostatnich lat. Ilekroć bowiem pojawiał się nowy czynnik masowej informacji, natychmiast rozlegał się zewsząd chór sceptycznych głosów wróżących szybki koniec całego przedsięwzięcia lub zapowiadający śmiertelną walkę konkurencyjną między „starym a nowym".

Tymczasem...

Sięgając początków powojennej prasy lubelskiej na samym wstępie napotykamy okres niebywałej świetności i rozkwitu. To historia uśmiechnęła się do miasta nad Bystrzycą czyniąc go stolicą odradzającej się Rzeczypospolitej. Na firmamencie lubelskim lśnią najpierwsze gwiazdy naszej literatury i dziennikarstwa. Jak grzyby po deszczu mnożą się tytuły wydawnictw, czasopism i gazet.

Ale szybko kończy się era wspaniałego rozkwitu. W ślad za rządem i władzami centralnymi ruszają do Warszawy i Łodzi wydawnictwa, redakcje i ludzie pióra oraz palety. Po krótkim, ale jakże bujnym okresie stołecznym, prowincjonalizm Lublina wydaje się jeszcze żałośniejszy niż poprzednio.

Wówczas z inicjatywy Komitetu Wojewódzkiego PPR i jako jego organ zaczyna ukazywać się „Sztandar Ludu", który odtąd nieprzerwanie przez 21 lat służy wiernie lubelskim czytelnikom.

Do roku 1947 ukazuje się jeszcze jedno pismo codzienne — „Gazeta Lubelska". Jednak w okresie miłościwie panującej nam centralizacji zostaje ona zlikwidowana i jedynie redagowana w stołecznym „Życiu Warszawy" kolumna „Życie Lubelskie" stanowi namiastkę lokalnej gazety.

Wbrew prowincjonalnej stagnacji, z uporem i konsekwencją ukazuje się też „Kamena". I to właściwie wszystko. Przepraszam! Jest jeszcze radio lubelskie. Przez wiele lat pracowicie nadaje audycje lokalne dla sieci radiowęzłów. Złośliwi nazywają więc jego redakcję — nie bez słuszności — radiosupełkiem. Kiedy wreszcie, po dziesięciu bodajże latach, Lublin otrzymuje pierwsze urządzenia nadawcze, pozwalające na słyszalność w eterze, to zasięg tego nadajnika jest tak ograniczony, że nie przekracza granic miasta. Pamiętam rozgoryczenie ówczesnego redaktora po telefonie odebranym od jakiegoś radiosłuchacza, który najzupełniej serio pytał, czy po przeprowadzce na oddalone od śródmieścia osiedle, będzie mógł odbierać lubelski program Polskiego Radia.

Ale rozpoczyna się dla lubelskiej prasy pomyślniejszy okres. Szybki wzrost miasta i województwa, powstanie nowych, silnych środowisk robotniczych i technicznych, naukowych i kulturalnych, stawia nowe potrzeby również w dziedzinie prasy.

Grupa pełnych ambitnej inicjatywy ludzi rozpoczyna starania o stworzenie w Lublinie drugiego pisma codziennego i wydawnictwa książkowego. Władze — łącznie z Egzekutywą Komitetu Wojewódzkiego PZPR i Prezydium WRN popierają z całych sił te starania. W 1957 roku zaczyna ukazywać się „Kurier Lubelski", nawiązujący swym tytułem do pisma lubelskiego ukazującego się w dniach powstania styczniowego, a następnie jednego z bardziej postępowych dzienników lubelskich w międzywojennym dwudziestoleciu. Redakcja „Sztandaru Ludu" wielkodusznie zasila „Kurier" poważnym zastrzykiem wykwalifikowanych kadr dziennikarskich.

Ale znaleźli się w Lublinie ludzie twierdzący, że „Kurier" to sztucznie stworzona efemeryda, która szybko zakończy swój żywot. Inni przeciwnie. Mówili, że gazeta redagowana w lekkim stylu — właściwym wszystkim „popołudniówkom" zagrozi poważnie „Sztandarowi Ludu" odbierając mu znaczną część czytelników. Pogląd ten podzielał również — bardzo wówczas wpływowy — specjalista w Zarządzie Głównym RSW Prasy oświad-

(Dokończenie na str. 4)

Zgrupowanie Partyzanckie

Jeszcze Polska nie zginęła

JERZY DOSTATNI

PRZEZ grube mury uparcie przeciskają się przytłumione dźwięki różnych instrumentów. To orkiestra Opery Poznańskiej przygotowuje się do występu. Repertuar miesięczny obejmuje kilkanaście pozycji — teraz dla rozgrzewki każdy gra co i jak mu się podoba. W tej specyficznej kakofonii jedynym pewnikiem wydaje się być młoda, opalona twarz dyrektora i kierownika artystycznego tej Opery — Roberta Satanowskiego.

Robert Satanowski w partyzantce Rok 1944

Nazwisko Satanowskiego znane jest doskonale nie tylko muzykom, ale i wszystkim historykom lat okupacji. To przecież on był twórcą i dowódcą dużego Zgrupowania Partyzanckiego „Jeszcze Polska nie zginęła", działającego najpierw na terenie Polesia i Wołynia, a potem na Lubelszczyźnie. Zgrupowania, o którym jednak dotychczas do wia-

(Ciąg dalszy na str. 6)

WIESŁAW SADURSKI

w mych pocałunkach...

w mych pocałunkach jest niemal zamknięta,
pozbawiona wolności,
a jednak rozkazująca
przez wszystkie słowa spojrzenia i gesty

o niej łagodnie kreślę znaki na kartkach,
w kolorach pustyń opadających na ziemię
mówię z gestem czułości
jak ze szczyptą soli

nie mogę uciec —
natychmiast mnie budzi,
łzy kruszą skały i ścieżki przede mną,
przy drogach drzewa wzlatują w powietrze
i lecą w długie korytarze żył

jak słońce świecące dla niewielkiej śmierci —
widzisz miłość,
ogień płonący do świata,
widzisz szybko śniącą swój przezroczysty sen...
przylgnąć do niej, nie wierzyć w powroty,
ocalić siebie tak właśnie i innych...

kto płacze...

kto płacze — w moim głosie?
jakie małe dziecko
w nim zamieszkało, i drapieżną rączką
za krtań mą chwyta, że aż czuję głód?

ponad trawami liść z liściem szeleści
i głosy składa...
śpiewające dziecko
nagle skrzydełka gubi pośród traw
ale już cisza ku niemu się skrada
i dzień następny zatoki zachwytu
zamknie na ustach jeszcze śpiewających,
i usta zamknie —
w przeraźliwy lot!

triumf rozdarcia na co dzień ucisza me słowa,
od śniegów ogrzewam ich marznące wargi,
niekiedy chcę zanucić melodię o słońcu...

i wtedy nagle — skąd? — zupełnie nie wiem —
okrutny płacz dziecka pobrzmiewa w mym śpiewie...

ona mnie bawi...

ona mnie bawi,
jest pełna płomyków,
lecz czemu się spala ledwie grzejąc kołdrę
specjalnie pożyczoną na tę uroczystość?

mocnym głosem jej mówię te tysiące chimer,
które w niej przykucnęły,
a ona się śmieje,
czerwoną wargą pieszcząc moje szczupłe kręgi...

potem nie wiem co począć, patrzę w drżące okno,
na ulicy południe zbyt szybko przebiegło,
ona bawi się kotkiem,
ma zbyt ciemne włosy,
zbyt wielkie oczy
czy stać je na miłość?

ona z marzeń o cnotach wybiera namiętność,
od smutku woli męską rezygnację,
z uśmiechem znosi przeciwieństwa losu,
i zwycięża pogodnie —
z podniesionym czołem
i rozwartymi gościnnie smukłymi udami...

(Z mającego się wkrótce ukazać nakładem „Iskier" tomu pt. „Pod okiem zegara")

1 MAJA, 3 maja, 9 maja... Święta, rocznice. Pisma zaroiły się od okolicznościowych artykułów, wspomnień.

Moja córka uczy się w szkole: w drugiej wojnie światowej straciło życie 32 miliony ludzi. Procentowo największe straty poniosła Polska, która straciła 6 milionów swych obywateli. Co piąty Polak nie doczekał kapitulacji III Rzeszy. Wartość zniszczeń materialnych ocenia się na 220 000 000 000 dolarów.

Córka spojrzy na tę liczbę, zastanowi się, jak ją odczytać. *„Tata — to są miliardy?"* — Potem spróbuje przeliczyć na złotówki, zapyta mnie po jakim kursie, wyjdzie jej astronomiczna suma.

Później znów zagłębi się w tragicznej statystyce. Dowie się, że ZSRR zapłacił za zwycięstwo śmiercią 17 milionów ludzi. Straty materialne wyniosły 128 000 000 000 dolarów, Wielka Brytania straciła 400 000 swych obywateli, Jugosławia — 1,7 mln, Francja — 600 000, Czechosłowacja — 250 000 itd, itd.

Śmierć pojedynczego człowieka robi większe wrażenie niż długie kolumny liczb. Można sobie zresztą, choć z trudem, uzmysłowić publiczną egzekucję, w której ginie dwunastu ludzi z zagipsowanymi ustami, czy wybuch granatu, który rozrywa iluś tam żołnierzy. Ale śmierć w zatłoczonej komorze gazowej, błysk bomby atomowej, cień na balustradzie mostu, cień, który kiedyś był człowiekiem — to już nie mieści się w granicach wyobraźni.

Córka czyta podręcznik do historii, a potem bierze do ręki najświeższy numer gazety. Dowiaduje się, że do Wietnamu Południowego przybył następny kontyngent czterech tysięcy żołnierzy amerykańskich i że w ten sposób liczba żołnierzy amerykańskich w Wietnamie Południowym wzrosła do około 244 tysięcy. Wśród nowo przybyłej jednostki znajdują się weterani wojny koreańskiej uważani za najbardziej doświadczonych.

„Wojna koreańska... Tata, co to była wojna koreańska?".

Prawda, to dla niej też już historia. Gdy podpisano rozejm, ona stawiała dopiero pierwsze kroki. Piętnaście lat życia mojej córki nie były dla świata sielanką. A przecież oficjalnie były to lata pokoju...

W tych latach pokoju ludzkość wydawała na zbrojenia po 50, 80, 100, 120 miliardów dolarów rocznie. Gdyby środki te zostały wykorzystane na produkcję zboża, mięsa, tłuszczów i cukru spożycie tych produktów na całym świecie można byłoby zwiększyć 2,5 raza...

„Tata, to po co tyle pieniędzy wyrzucano w błoto?".

Właśnie, dlaczego? Mam jej powiedzieć, że zagłada Nagasaki i Hiroszimy stanowiła pierwszy akt zimnej wojny? Że potem nastąpiło słynne przemówienie Churchilla w Fulton, rozpoczęła się realizacja doktryny Trumana, powstało NATO, wybuchła wojna w Korei, w szybkim tempie zaczął się odradzać militaryzm w NRF? Że kraje socjalistyczne musiały zatroszczyć się o swoją obronę po to, aby polski Wrzesień, radziecki Czerwiec nigdy się nie powtórzyły?

„A co będzie jeśli nas Niemcy znów napadną?".

Odpowiedz nastolatce w kilku zdaniach! Że Polska nie jest dziś samotna jak w 1939 roku, że inne są Niemcy, że od NRF dzieli nas NRD, należąca do paktu warszawskiego, że obóz socjalistyczny dysponuje najnowocześniejszą bronią, że eksperci amerykańscy obliczyli, iż w rezultacie jednego tylko kontruderzenia nuklearnego w Stanach Zjednoczonych zginęłoby 54 miliony ludzi a 20 milionów odniosłoby ciężkie rany, że...

Nie wiem, czy by to ją zadowoliło. Nastolatki potrafią zadawać pytania tak trzeźwo naiwne, że przypomina się słynna baśń Andersena o królewskich szatach. Ale polityką zawodowo nie zajmują się nastolatki, tylko ludzie dorośli, którzy w swojej trzeźwości są często naiwni jak pięcioletnie dzieci.

Amerykanie od miesięcy dokonują bestialskich nalotów na Wietnam Północny. Bez wypowiedzenia wojny mordują tysiące ludzi śmiercionośnymi pociskami. Kiedy przeciwko bombowcom startują wietnamskie myśliwce, kiedy wywiązują się walki powietrzne, politycy amerykańscy dostają białej gorączki, wygłaszają buńczuczne przemówienia, zapowiadają dalszą intensyfikację wojny. Czytając wypowiedzi niektórych przedstawicieli administracji USA można by odnieść wrażenie, że to lotnictwo Wietnamu Północnego bombarduje Florydę. Do kogo oni przemawiają? Czy społeczeństwo amerykańskie składa się z analfabetów?

Francuski minister spraw zagranicznych, Couve de Murville podczas wizyty w Bukareszcie wyraził przekonanie, że nie można rozwiązać problemu Wietnamu na drodze wojskowej. Wśród wybuchu śmiechu dziennikarzy powiedział: „My, Francuzi, wiemy o tym najlepiej". Kiedy zrozumieją to Amerykanie?

Ale czy w ponurej atmosferze międzynarodowej obchodzimy 21 rocznicę upadku Berlina, zakończenia II wojny światowej?

Francuski dziennik „Humanite" pisał na marginesie ostatniej rzymskiej wizyty Gromyki w Rzymie, że nastąpiła „godzina Europy". Na starym kontynencie „coś się zaczyna dziać". Radziecki minister spraw zagranicznych zaproponował zwołanie konferencji ogólnoeuropejskiej w sprawie bezpieczeństwa tego kontynentu, zapoczątkował się dialog między SED a SPD, Francja wycofuje się z NATO, francuski minister spraw zagranicznych odwiedza stolice wschodniej Europy, prezydent de Gaulle jedzie do Moskwy.

A więc z jednej strony wprawdzie możliwość eskalacji wojny w Wietnamie, ale z drugiej posunięcia, których konsekwencji dla dobra pokoju na świecie nie można przewidzieć. Moja córka uczy się w szkole... Cały świat się uczy!

ma-jaw

Inicjatywy kulturalne

Casus: Zielona Góra

JANUSZ KONIUSZ

W PRACY Jerzego Kossaka „Kultura, pisarz, społeczeństwo" rozwój życia kulturalnego Zielonej Góry jest ilustracją tezy, że prowincja przestała być przysłowiowo głucha i zabita deskami: *„poza tradycyjnie aktywnymi środowiskami, centrami życia kulturalnego — takimi jak Warszawa, Kraków, Wrocław — pojawiły się nowe, prężne kulturotwórcze środowiska"*.

Nikt jednak nie ukazał dramatów, które towarzyszyły ruchowi społecznemu, nie oświetlił czasem podskórnych, nie ujawnionych na zewnątrz sporów wynikających z różnego rozumienia treści, form i zakresu działania ruchu społecznego, nie pokazał jak otrząsano się z konserwatywnej tradycji nadmiernego, nieuzasadnionego optymizmu czy malkontenctwa. W ruchu społecznym najważniejszą rolę odgrywają ludzie ze wszystkimi dobrymi i złymi cechami swych charakterów. Zresztą także dzisiaj, po wieloletnich doświadczeniach, ruch ten nie jest bez skaz. Opisanie zabiegów wokół wydania „Nadodrza", uzyskania salonu dla plastyków, pomieszczenia dla muzeum i archiwum — mogłoby stanowić wcale interesującą lekturę. Wystarczy przejrzeć nazwiska uczestników I Sejmiku kultury i zestawić je z dzisiejszymi działaczami LTK, aby się przekonać, ilu ludzi odeszło od działalności społecznej. Za każdą załatwioną sprawą kryją się niezliczone posiedzenia, narady, spotkania. Korespondent wojenny napisałby, że walczono na kilka frontów.

Społecznego ruchu kulturalnego w województwie zielonogórskim nie należy utożsamiać, co często się czyni, z Lubuskim Towarzystwem Kultury i jego terenowymi ogniwami — towarzystwami i klubami regionalnymi. LTK jest tylko jego bardzo prężną częścią. Utożsamiając działalność społeczną na rzecz kultury z działalnością LTK, wyrządzilibyśmy krzywdę wielu działaczom, nie związanym z LTK, wielu towarzystwom i organizacjom: Lubuskiemu Towarzystwu Muzycznemu im. H. Wieniawskiego, Zjednoczeniu Polskich Zespołów Śpiewaczych i Instrumentalnych, Związkowi Teatrów Amatorskich, Polskiemu Towarzystwu Historycznemu, Związkowi Nauczycielstwa Polskiego i innym, których działalność na rzecz rozwoju kulturalnego jest bardzo duża.

Na przykładzie Ziemi Lubuskiej można wyróżnić trzy formy organizacyjne tego ruchu: regionalne i lokalne towarzystwa, społeczne grupy działania oraz działalność kulturalno-oświatowa, prowadzona w województwie przez ogólnopolskie związki, stowarzyszenia i organizacje. Jest to podział bardzo uproszczony zastosowany tutaj dla zasygnalizowania problemu, gdyż w praktyce, zwłaszcza na wsi, nie ma on większego znaczenia. W ruchu społecznym idzie o pracę, o działanie, a nie o szyld. Ale zaproponowanie takiego podziału jest konieczne dla zilustrowania bujności ruchu, wielowątkowości oraz, co wynika z tego, potrzeby koordynacji inicjatyw i ich wspólnego realizowania.

Miejsce Lubuskiego Towarzystwa Kultury jest w społecznym ruchu kulturalnym wyjątkowe. Spełniając funkcję nie istniejących w wojewódzkim mieście placówek i instytucji kulturalnych, wprowadziło życie kulturalne na wyższe, jakościowo odmienne piętra. Przedtem mieliśmy do czynienia niemal wyłącznie z upowszechnieniem kultury — z powstaniem LTK wiąże się zagadnienie tworzenia dóbr kulturalnych w województwie, problem twórczości, problem powstawania środowisk twórczych. LTK było inkubatorem niektórych samodzielnych instytucji i związków twórczych. Za pierwsze fundusze otrzymane od Prezydium WRN, wydało tomiki poetyckie, zrealizowało pierwszy dokument filmowy, zorganizowało zjazd naukowców. Tworzenie dóbr kulturalnych i ich upowszechnianie — oto profil działalności LTK.

Profil ten był już wielokrotnie poddawany dyskusji. Chodziło o koncepcję dalszego upowszechniania kultury, o pewien model kulturalny regionu lubuskiego. *„Ten region* — pisał Wilhelm Szewczyk w katowickiej „Trybunie Robotniczej" —*jest całkowicie nową wartością polską"*. LTK jest organizacją regionalną powołaną do tworzenia klimatu umożliwiającego popularyzowanie wiedzy o Ziemi Lubuskiej, upowszechnianie sztuki, literatury, powstającej w województwie. Stąd filmy o tematyce regionalnej, książki autorów lubuskich, często tematycznie związane z Ziemią Lubuską, opieka nad miejscowymi twórcami, gromadzenie pamiątek regionalnych, setki prelekcji i odczytów o tym, co lubuskie, stąd wreszcie od pierwszej do ostatniej strony regionalne „Nadodrze". A więc robienie tego, czego nikt przedtem w województwie zielonogórskim nie robił. Do współczesnego modelu kulturalnego na Ziemi Lubuskiej, Lubuskie Towarzystwo Kultury wniosło swoją własną cegiełkę: sztukę, literaturę, film, plastykę, problematykę regionalną. Wypełniło pustą i białą plamę.

Ideą Towarzystwa jest współcześnie pojęty regionalizm. W jednej z dyskusji prowadzonych na łamach „Nadodrza" został on zdefiniowany poprzez strawestowanie znanego powiedzenia: *„co lubuskie nie jest nam obce"*.

Na czym ten regionalizm polega? Idzie najogólniej o to, aby treści pracy kulturalnej nasycić problematyką regionalną. Ludzie chcą wiedzieć, co działo się przed stu, dwustu, tysiącem lat w miejscowości, do której przybyli w roku 1945, chcą wiedzieć, jakie zmiany zajdą w tej miejscowości jutro, za rok, za lat pięć. Ta wiedza jest potrzebna ustabilizowanemu człowiekowi, który swoją przyszłość związał z jakimś regionem. Stąd owa poczytność książek o problematyce zielonogórskiej, stąd poczytność „Nadodrza", stąd wreszcie to życzliwe przyjęcie filmów Lubuskiego Klubu Filmowego i to ogromne zainteresowanie społeczeństwa, jakie towarzyszyło staraniom o powstanie w Zielonej Górze wyższej uczelni. Redaktorzy „Gazety Zielonogórskiej" przyjęli zwyczaj publikowania na pierwszej stronie informacji o najnowszych odkryciach archeologicznych w województwie obok najważniejszych wydarzeń politycznych.

Idzie tu o wykorzystanie historii do potrzeb dnia codziennego, o przerzucenie mostu czy pomostu między tym, co tu było kiedyś polskie, a współczesnością.

Regionalizm w praktyce ruchu społecznego jest jednak ciągle żywy. LTK zrobiło bardzo dużo dla spopularyzowania Ziemi Lubuskiej. Tutaj ruch społeczny ma potężnego sojusznika: szkoły, nauczycielstwo. Kierunek na problematykę regionalną, na interesowanie się tym, co dzieje się w najbliższym otoczeniu, jest dzisiaj prawie oficjalny. O zainteresowaniach mieszkańców województwa sprawami regionu świadczyć może drobny fakt wykupienia wszystkich egzemplarzy antologii prozy i poezji o Ziemi Lubuskiej pt. „Odzyskane gniazda".

Tak pojęty regionalizm został wypracowany, stworzony niejako przez ruch społeczno-kulturalny, stał się treścią i metodą jego działalności. Regionalizm to właśnie ta luka jaka powstała w „ogólnopolskim" życiu kulturalnym i którą należało wypełnić. I wypełniono ją.

VOJTECH MIHALIK

Pokój

1
Widziałem piękną kobietę bez nogi.
Wychodziła z teatru o kulach.
(Dziś grano komedię Mirandolina)
Śmiała się jeszcze na korytarzu.
To pani Janina Burzyńska,
przed wojną była lekarzem.

2
W gospodzie „Pod zbójnickim bukiem"
sławny pianista polski
Tadeusz Dobrowolski
Lewą ręką podnosił ku ustom
łyżeczkę z wiśniową konfiturą.
Prawy rękaw miał w kieszeni pusty.

Ze słowackiego przełożył
Jerzy Pleśniarowicz

Przegląd PRASY

MNOGOŚĆ rocznic, dat, pretekstów historycznych znajduje solidne odbicie w prasie ostatniego czasu. Dominuje oczywiście temat Tysiąclecia. Artykuł **„...skąd nasz ród"** w **„GŁOSIE NAUCZYCIELSKIM"** mówiąc o pierwszych i końcowych latach Millenium nawiązuje do niedawnego przemówienia W. Gomułki w Poznaniu. To samo pismo wydrukowało w postaci specjalnej wkładki cenny i bogato udokumentowany, choć szkicowy i syntetyczny artykuł **prof. B. Leśnodorskiego „Dwie koncepcje Tysiąclecia"**. W **„PRZEKROJU" R. Burzyński** kontynuuje cykl **„Cała Polska obchodzi Tysiąclecie"**, dając interesujące sylwetki dwóch starych miast: Rzeszowa i Przemyśla.

Rocznica Sejmu Czteroletniego i Konstytucji Trzeciego Maja znalazła interesujący wyraz w dwóch publikacjach: w **„KULTURZE" J. Łojek** publikuje bardzo ciekawe **„Zagadki sejmowe z roku 1790"**, natomiast **„POLITYKA"** pod tytułem **„...dla ludu wolnego konstytucja"** zamieściła bogaty zestaw tekstów pisanych przez „aktorów i świadków zdarzeń doby Sejmu Czteroletniego", które *„odtwarzają autentyzm chwili, nastroje i atmosferę historycznych dni, różnolitość postaw i poglądów"*.

Problemom turystyki poświęca uwagę **„TYGODNIK DEMOKRATYCZNY"**, drukując reportaż **J. Ronerta „Perła bez oprawy"**. Tą perłą jest Augustów — centrum Suwalszczyzny. Ruch turystyczny z roku na rok tutaj olbrzymieje, ale nie towarzyszy temu rozwój zaplecza. Spraw z tym związanych nie udźwigną tylko władze miejscowe, bo dla nich często turystyka przesłaniania jest przez drobne sprawy gromadzkie. A decyzji, które należałoby podjąć natychmiast, jest sporo. Brak kanalizacji miasta prowadzi do zabudowy niekorzystnej i dla miasta, i dla turystyki. Nowe budownictwo miejskie zagraża już terenom Puszczy Augustowskiej. Nie ma oczyszczalni ścieków, wszystkie nieczystości spływają do pięknych Augustowskich Jezior, *„które jeśli tak dalej pójdzie — nie tylko przestaną słynąć z przejrzystej wody, lecz z powodu wzrastającego zanieczyszczenia wód kąpiel w jeziorach zostanie zabroniona"*. A więc sytuacja osiągnęła już stan alarmowy.

Bogato przedstawia się zawartość ostatniego numeru **„DIALOGU"**, który prezentuje sztuki **Becketta** i **Międzyrzeckiego** oraz pierwszą część **„Powieści teatralnej" M. Bułgakowa.** Centrum wypełniają poza tym dwie pozycje poświęcone twórczości **E. Ionesco.** Obszerny analityczny szkic **M. Piwińskiej „Nie tylko o Ionesco"** próbuje ująć głębię, jaka otacza u nas tego dramaturga: *Ionesco wmówił całemu światu i sobie samemu, że odkrył, wynalazł czy wymyślił coś nowego, gdy tymczasem odkrył w sobie, wynalazł czy wymyślił tylko samego siebie — Ionesco naiwnego"*.". I dalej: *„Teatr Ionesco jest zbiorem banałów odkrytych na nowo i ozobiście przeżytych, jest intymnym zwierzeniem najbardziej zużytych komunałów"*.

Natomiast **„Spotkanie z Ionesco" J. Błońskiego** jest próbą przybliżenia tego dramaturga, zrozumienia jego stanowiska poprzez rozmowę z pisarzem, którą relacjonuje i wzbogaca cytatami z artykułów dramaturga. Oto chyba dosyć kluczowa wypowiedź dramaturga: *„W końcu o to chodzi, aby język stał się życiem, aby nie było różnicy, rozdarcia między rzeczami a słowem, aby język był naprawdę wcielony. Podobnie w teatrze: aby to, co się dzieje na scenie, nie było opowiadaniem o życiu, przedstawianiem — ale raczej wcieleniem życia. Mnie, nie tylko mnie, także i przede wszystkim Beckettowi zarzucano, że rozkładamy, rozczłonkowujemy język; tymczasem mnie się zdaje, że myśmy go, przeciwnie, uczynili znowu żywym, tylko inaczej, okrężną drogą: starając się sprawić, aby wcielił się bez reszty w sceniczny obraz, aby stał się samą rozpaczą, melancholią i tak dalej"*.

Odnotujmy jeszcze artykuł „PRZEKROJU" „Sto lat od „Dookoła Księżyca", opracowany przez **S. Vareaby**, poświęcony J. Verne, który napisał bardzo zastanawiające słowa: *„Wszystko, co wymyślam, pozostanie w tyle za rzeczywistością, ponieważ wszystko, co człowiek zdolny jest pomyśleć, inni ludzie potrafią urzeczywistnić i przyjdzie czas, gdy twory wiedzy przewyższą twory imaginacji"*.

I na zakończenie — jako że przeżywamy Dni Oświaty, Książki i Prasy — słowo o kulturze, ale nieco inaczej. Wprawdzie **Z. Kwiatkowski** przedstawił w **„ŻYCIU LITERACKIM"** w artykule **„Od irytacji do stanowiska"** sytuację kultury i jej placówek na terenie Krakowa, ale konkluzje pasują jak ulał do każdej sytuacji w Polsce.

T. K.

Muzeum i pomnik J. Czechowicza

9 września otwarte zostanie w Lublinie Muzeum im. Józefa Czechowicza, połączone z położeniem kamienia węgielnego pod jego pomnik. Uroczystości te będą związane z 35 rocznicą powstania Związku Literatów w Lublinie, którego Czechowicz był sekretarzem. Te same uroczystości obejmą 45 rocznicę powstania grupy poetyckiej „Reflektor".

Odsłonięcie pomnika przewiduje się we wrześniu 1967. W tym czasie odbędzie się zjazd literacki, na który zapowiedzieli swój przyjazd przedstawiciele środowisk literackich z całego kraju, a przede wszystkim dawni współpracownicy „Reflektora"".

Przygotowaniem tych wszystkich uroczystości zajmie się komitet, na którego czele stanął przewodniczący Prez. WRN mgr **PAWEŁ DĄBEK.** W skład komitetu weszli: **Ryszard Dunin, Zbigniew Frąc, Wacław Gralewski, Irena Iskrzycka** i **Edward Nadulski.**

Żywot agronoma poczciwego

KRYSTYNA PAŁYS

NIEFOREMNE pudło agronomówki nie zdobi w Sernikach tradycyjnej panoramy wsi z górującymi nad płaskim terenem wieżami kościoła. Miał to być wzór nowoczesnego budownictwa, tymczasem wyszło skrzyżowanie baraku z domkiem campingowym. Plac, na którym stoi niefortunne dzieło anonimowego projektanta, jest wprawdzie starannie ogrodzony siatką, na froncie widać spod resztek śniegu zarysy rabat i wymokły trawnik, ale mozaika brudnych plam na murach zdradza, że dach przecieka haniebnie. W korytarzu wysepki pleśni pstrzą sufit i wszystkie ściany, w mieszkaniu nad oknami cały fryz z zacieków, z różnych kątów zanosi stęchlizną.

Za oknem wszystko rozpływa się od dawna w zmroku, agronom mimo to jeszcze nie powrócił do domu. Urodziwa żona mówi z rezygnacją, że powtarza się to codziennie. Gdy wychodzi rano do pracy, męża już nie ma, po powrocie ze szkoły do domu też go nie zastaje. Taki los agronoma — latem w terenie, zimą na szkoleniu.

***

Ambasadorami postępu na wsi, oficerami produkcji lubią czasem tytułować dziennikarze agronomów gromadzkich. Michał Węgrzyn sądzi, że podobne terminy wychodzą spod pióra ludzi skłonnych do taniego patosu. Tymczasem w codziennej pracy agronoma potrzebny jest nie patos, ale dobra znajomość zawodu i umiejętność podchodzenia do ludzi. W latach młodzieńczych tytuł oficera owszem, byłby dla niego dużą satysfakcją, ogromnie imponował mu wtedy wojskowy mundur. Nie zdawał sobie z początku sprawy, że drzemie w nim odziedziczona po ojcu żyłka do hodowania rzadkich roślin. Skłonności te podpatrzyli dopiero koledzy w technikum, przezwali go też „badylarzem". Słabość do munduru wzięła górę, gdy miał już dyplom w kieszeni — wstąpił do szkoły wojskowej. Na półmetku oficerskiej kariery spotkał go niespodziewany cios: szkołę z jakichś tam przyczyn zwinięto. Marzenia o mundurze z czasem zbladły, ale dzięki szkole wojskowej Serniki mają w nim dziś doskonałego komendanta ORMO.

Po pierwszym zawodzie życiowym młody człowiek nie bardzo rad rozpoczął staż w rolnictwie. Później zmieniał kilka posad, których wtedy nigdzie nie brakowało. Będąc agronomem w Łomazach, pewnego dnia zaszedł do gromadzkiej rady. Zastał tam chłopa molestującego referenta od skupu i dwóch urzędników z Białej, żeby mu przepisali 16 kilogramów żywca na następny termin. Gospodarz ten odstawił tucznika o wadze powyżej metra, niestety trochę niższej od wymiaru.

— Panowie — prosił — wliczcie mi to do następnej raty, brak pokryję gęsiami. Teraz potrzeba mi na gwałt pieniędzy na nawozy i nasiona.

Urzędnicy z powiatu puszczali te prośby mimo uszu. Agronom przysłuchiwał się monologowi petenta przez dłuższy czas, w końcu nie wytrzymał.

— Znam tego człowieka i sytuację w jego zagrodzie. Nie prosi przecież o umorzenie, tylko o przesunięcie terminu dostawy.

Urzędnicy nie odpowiadali dopóki chłop nie wyszedł, później wsiedli na agronoma, że buntuje ludzi, że jest pewno wrogiem ludu i obecnego ustroju. Zarzuty odparł rzeczowo, że jako agronom stwierdza obiektywnie krytyczną sytuację w gospodarstwie interesanta. Po pewnym czasie doszła do niego wiadomość, że urzędnicy wnieśli skargę do przewodniczącego Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Białej jakoby publicznie występował przeciwko wymiarowi dostaw. W nie wyjaśniony dotąd sposób pod skargą znalazły się podpisy kilku świadków, chociaż poza chłopem i urzędnikami z Białej nikogo podczas zajścia nie było. Dokoła sprawy powstał wielki szum, domniemanego wichrzyciela wezwano przed oblicze przewodniczącego władzy powiatowej. Dostojnik grzmiał niby gromowładny Zeus, groził dyscyplinarnym zwolnieniem. Agronom słuchał spokojnie, w której jednak minucie nie potrafił stłumić wewnętrznej eksplozji:

— Panie przewodniczący, dosyć tych oracji, możecie mi wierzyć albo nie wierzyć, stwierdzam, że autorzy skargi nie napisali prawdy i żadnych świadków nie było. Nie jestem wychowany jak mój ojciec, który mając dziewięcioro dzieci przed Nowym Rokiem kłaniał się w pas i całował w rękę po kolei dziedzica i dziedziczkę, żeby go nie zwolnili z pracy.

Wyszedł z gabinetu nie czekając na odpowiedź. Krótkie spięcie miało ten efekt, że zwołano liczne zebranie, na którym „oskarżony", powołując się na Konstytucję Rzeczypospolitej, wygłosił mowę obrończą. Zakończył ją pytaniem: jeśli ja jestem wrogiem ludu i ustroju dlatego, że wskazałem na ekonomicznie ujemne skutki nadgorliwości biurokratów, to jak mam nazwać odnoszenie się do mnie przewodniczącego? Skończyło się na upomnieniu z powodu nietaktownych wypowiedzi.

Niedługo potem trzeba się było wykazać zdolnościami organizacyjnymi przy zakładaniu kółek rolniczych. Służba agronomiczna współpracowała przy tym z partiami politycznymi i całym aktywem społecznym powiatu. Srogi przewodniczący miał, na równi z innymi, misję zorganizowania jednego kółka. A były to czasy, kiedy chłop zachowywał jeszcze rezerwę z obawy, że przez kółko zaciągną go do spółdzielni. Robota szła więc opornie. W celu ustalenia przyczyn zwołano naradę. Najłatwiej było chłopskie stronienie od kółek przypisać niedołęstwu agronomów. Rogata dusza znów odezwała się w Węgrzynie:

— Zakładaliśmy kiedyś spółdzielnie pod naciskiem administracyjnym, z jakim skutkiem wszyscy wiemy. Rolnik nie ma ochoty wierzyć tylko na słowo, woli opierać się na konkretach. Jeśli kółka mają mnożyć się bez nacisku, zostawmy mu trochę czasu, niech sam nabiera przekonania. Trudno wymagać od służby rolnej żeby z dnia na dzień zakładała kółka, jeśli przewodniczący powiatowej rady jako doświadczony działacz ludowy nie uporał się z założeniem nawet jednego.

Tym razem nikt nie potępił wystąpienia. Przeciwnie — dopatrzono się w nim odwagi, stawiania jasno niełatwej sprawy. Po naradzie Węgrzyn zauważył, że zaczynają go doceniać jako agronoma.

***

Gdzieś w tym czasie poznał w Białej czarnookie dziewczę, które po ukończeniu studiów zaczęło pracować w szkole. Mogli się zatem pobrać. Po weselu małżeństwo stanęło przed problemem znalezienia pracy w jednej miejscowości. Serniki były właśnie tą okazją do założenia ogniska rodzinnego, bez uszczerbku dla pracy zawodowej. Czekała tam na nich agronomówka z kupą gruzu na froncie. Gruz wywiózł nowy agronom ciągnikiem wypożyczonym od kółka rolniczego, potem na stratowaną ziemię puścił talerzówkę.

— Uprawia podwórze, zgłupiał czy co? — komentowano we wsi jego poczynania. Nie zważając na to Węgrzyn zabrał się do sadzenia półtora tysiąca krzaków karagany na żywopłot. Przyglądali się temu ludzie idąc w niedzielę do kościoła. Padały uwagi, czy nie lepiej byłoby nasadzić porzeczek albo malin w miejsce żywopłotu. Przycięcie pędów na wysokość kilkunastu centymetrów (żeby mocniej się rozkrzewiły) uznano za nierozsądny wybryk. Z czasem obserwacje uświadomiły niedowiarkom, że w szaleństwie agronoma jest metoda. Nie miał on zamiaru uprawiać przy agronomówce roślin z tradycjami na wsi, chciał tam zgromadzić okazy dotychczas w Sernikach nie znane. Dlatego to w skrzynce w mieszkaniu kiełkuje mało znana „canna", żeby ją wcześniej można było wsadzić do doniczek, zanim pójdzie w grunt. Dlatego w warzywniku agronoma rosną pomidory nie takie jak na wsi, a brazylijska odmiana „Deberao", pnąca się na wysokość czterech metrów, z owocami wydłużonymi jak śliwki, znacznie słodszymi w smaku od pospolitych odmian. Z nią sąsiaduje kapusta pastewna, która nie zwija się w główki, na poletkach ziemniaczanych rośnie odmiana ziemniaków dająca przy odpowiedniej uprawie do 500 kwintali z hektara.

Z przewodniczącym gromadzkiej rady nowy lokator z agronomówki szybko doszedł do porozumienia. Kobiety z koła gospodyń dostały w pobliżu hektar państwowej ziemi pod arowe warzywniki. Na każdym założono po 24 grządki strakcyjnych warzyw, rozdzielone alejkami. Dla ludzi powracających w niedzielę z kościoła, przez cały sezon jest więc przy agronomówce czynna zielona wystawa. Po upływie dwóch lat ludzie przestali się dziwić poczynaniom agronoma, coraz częściej przychodzi ten i ów z dyplomatyczną propozycją: jakby pan miał trochę sadzonek tej karagany czy jak tam, albo tych ziemniaków z nazwą podobną do numeracji maszyn, to bym wziął (nazwa ziemniaków dających rekordowe plony, rzeczywiście dziwna: „R—34460"). Jesienią cała wycieczka z kółek w gromadzie wyjechała aż do zakładu doświadczalnego w Ciciborze, żeby nauczyć się hodowli tej odmiany z nasion.

Szkolenie nie od razu poszło gładko. Kilku mądrali próbowało dowieść, że wiedzą więcej od agronoma. Rozprawił się naprzód z nimi, robiąc kolejno każdego na „szaro". Potem zaczął wykłady od praktyki odkładając teorię na sam koniec. Ludzie zaczęli przychodzić do agronomówki nie tylko na zebrania. Weszło w zwyczaj wstępowanie do niej po niedzielnym nabożeństwie, żeby wziąć z biblioteki jakąś książkę. Bardzo często przychodzi prezes znanego szeroko kółka w Nowej Woli. Nosi skromne nazwisko Kobyłka, a autorytet ma u ludzi ogromny. Potrafił namówić swoją wieś do budowy czterech kilometrów drogi, w Sernikach zaś nie znalazł się jeszcze taki, który przekonałby ludzi, że trzeba pomóc Nowej Woli budową piątego na swoim terenie.

Któregoś wieczora żona agronoma po powrocie z konferencji w szkole, zauważyła, że dwóch kawalerów zwierzało się mężowi ze swoich kłopotów sercowych. Mąż potraktował te zwierzenia jako męską sprawę, treść rozmowy i formy swojej interwencji zachował w tajemnicy. Wynik musiał być jednak pomyślny skoro po pewnym czasie odbyło się weselisko. Żona patrzy dziś na te konsekwencje z wyrozumiałością. Ostatecznie komu mają zwierzać się młodzi ze swoich intymnych spraw — księdzu, rodzicom? Mąż jest młody, lepiej ich zrozumie.

***

Z przewodniczącym gromadzkiej rady stosunki ułożyły się doskonale. Po prostu rozumieją, że jeden drugiemu jest potrzebny. Ciągi też przyjmują na wspólny rachunek. Nosi agronom w swoim portfelu dwa papierki — tekst pewnego telefonogramu obok odpisu pewnego pisma urzędowego. Oba świetnie charakteryzują stosunek poniektórych osobistości urzędowych do gromadzkich „ambasadorów". Ostatniego września Prezydium GRN przyjęło telefonogram z powiatu zalecający doręczenie rolnikom do 1 października wezwania, żeby natychmiast odebrali sadzeniaki na reprodukcję. Przez całą noc agronom wypisywał z żoną i uproszoną do tego pracownicą Gminnej Spółdzielni 1600 zawiadomień z podaniem ilości, odmiany itp. Rano rozdzielono papierki między wezwanych sołtysów, którzy ruszyli do swoich rejonów. Nazajutrz, gdy polecenie było wykonane, listonosz przyniósł urzędowe pismo. „W ślad za interwencjami polecamy doręczyć wszystkim rolnikom do odbioru sadzeniaków itd." W zakończeniu znalazło się autorytatywne dictum: „Jeśli do 4 bm. decyzje nie zostaną wysłane, wystąpimy o ukaranie odpowiedzialnych za ich wykonanie — przewodniczącego Prezydium GRN oraz agronoma gromadzkiego". Podobne kwiatki biurokracji nie podnoszą nikogo na duchu, a było ich więcej.

W styczniu zabrano się do sprawdzenia stosów kompostowych. Trudno uwierzyć, żeby w każdej zagrodzie chciało się wysłannikom odgrzebywać śnieg dla sprawdzenia, czy rzeczywiście leży pod nim kompost czy też kupa śmieci albo gruzu. Kontrola szkoleń ma nieraz dziwny przebieg. Zatrzymuje się na drodze staruchę żeby ją indagować: a chodzą w waszej wsi na pogadanki agronoma? Rezultaty takiej pracy wciąga się po powrocie z terenu w spokoju ducha do sprawozdań. Michał Węgrzyn nazywa takie praktyki „nalotami na agronomówki".

***

Specjalistka od matematyki aż do wyjścia za mąż — jak sama przyznaje — lekceważyła zawód agronoma dlatego, że bywała często na zebraniach prowadzonych przez ludzi, zaczynających służbę agronomiczną z różnym przygotowaniem, a później słyszała, co o nich chłopi mówią. Nie zastanawiała się nad tym, że jedna nieudana kiszonka może podkopać zaufanie całej wsi do wiedzy agronoma. Dziś matematyczka orientuje się w sprawach, którymi żyje mąż, nie gorzej od niego samego. Nie bez zdziwienia zauważyła też, że dzieci w szkole nazywają ją „pani agronomowa", co trochę rani jej osobiste ambicje. Nie przeczy jednak, że swoje zainteresowania rozszerzyła na nauki przyrodnicze. Poważnie myśli nawet o studiach rolniczych. Nie może tylko znaleźć żadnej rady na dokuczliwe sprawy życia rodzinnego. Wylicza ściśle jak na matematyka przystało: trzy dwuletnie kursy ogólnorolnicze po pięć godzin wykładów tygodniowo — to trzy popołudnia z wieczorami, dwa razy w tygodniu zespoły przysposobienia rolniczego — to razem już pięć dni w tygodniu. Dodać do tego jeszcze trzeba zebrania wiejskie, bo mąż obsługuje je nie tylko jako agronom, ale w razie potrzeby również z ramienia gromadzkiej rady lub partii.

Wychodząc za mąż nie zdawała sobie sprawy, że głowa zakładanej rodziny będzie gościem w domu. Miała też lepsze wyobrażenie o budowniczych agronomówek. Każde wiadro wody zawdzięczają dotychczas uprzejmości sąsiada, który pozwala czerpać z własnej, prywatnej studni. Brak strychu zmusza zimą do wieszania bielizny w izbie przewidzianej na zebrania. Nierzadko wypada ściągać ją naprędce ze sznura jeszcze mokrą, a potem rozwieszać na nowo. Większość robotników w PGR ma lepsze warunki mieszkaniowe od agronoma w Sernikach.

Mąż patrzy na te sprawy bardziej filozoficznie, może dlatego, że bielizny sam nie ściąga. Powtarza swoje ulubione „wszystko zależy od człowieka". Ludzie go poznali, oni też się zżyli ze wsią. Liczy na to, że musi dojść do wymiany dachu, przyzwoitej izolacji ścian, budowy studni, założenia centralnego ogrzewania i kanalizacji.

— Ale kiedy to nastąpi? — pyta żona.

Przemyśl: towarzystwa regionalne

ANTONI KUNYSZ

RUCH regionalny Przemyśla posiada bardzo odległe początki. Wystarczy tylko przypomnieć, że Towarzystwo Muzyczne w tym mieście działa z przerwami od roku 1862. Towarzystwo Dramatyczne im. Aleksandra Fredry, zwane popularnie „Fredreum", istnieje od roku 1878. Bardzo starą metrykę ma również Towarzystwo Upiększania Miasta Przemyśla, założone w roku 1890. Działając przez długi okres pod zaborem austriackim, kładły one silny nacisk na rozwijanie polskości oraz patriotyzmu na tym terenie.

Szczególna rola w badaniach przeszłości Przemyśla i dawnej Ziemi Przemyskiej przypadła Towarzystwu Przyjaciół Nauk, które powołane zostało do życia w roku 1909 przez liczne grono naukowców i miłośników nauki. Włożyło ono wiele wysiłku w rozwój życia naukowego i kulturalnego miasta, owocem tej działalności było utworzenie już w roku 1909 Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej, Biblioteki Naukowej TPN oraz zaktywizowanie pracy Archiwum Akt Dawnych. Olbrzymie zasługi posiada towarzystwo na polu badań regionalnych, których wyniki publikowano w „Rocznikach Przemyskich" bądź odrębnych rozprawach naukowych. Poważny nacisk w badaniach w okresie międzywojennym położono na problemy historii gospodarczej. W wyniku działalności wydawniczej do roku 1939 ukazało się 8 tomów „Rocznika Przemyskiego" oraz kilka odrębnych prac monograficznych i źródłowych. Mimo olbrzymich trudności lokalowych i finansowych towarzystwo i jego agendy (archiwum, muzeum, biblioteka) rozwinęły się przed rokiem 1939 w poważne placówki naukowe.

Okres okupacji hitlerowskiej odbił się niekorzystnie na działalności towarzystw regionalnych. Dyskryminacja Polaków, ich kultury, języka, perfidne rozbudzanie nacjonalizmu ukraińskiego jako przeciwwagi polskości wpłynęły na zahamowanie działalności tych pożytecznych placówek. Muzeum np. zostało oddane pod kierownictwo nacjonalistów ukraińskich.

Po klęsce Niemiec w roku 1945 następuje reaktywowanie prawie wszystkich istniejących tutaj przed wojną towarzystw. Poważny nacisk położony w Polsce Ludowej na rozwój kultury, stworzył dogodne warunki do ożywienia ruchu społeczno-kulturalnego. Obok TPN działają tutaj „Fredrum", Towarzystwo Muzyczne, Towarzystwo Upiększania Miasta Przemyśla i Polskie Tpwarzystwo Historyczne założone jeszcze w roku 1928. Dzięki dogodnym warunkom miastu przybywa szereg nowych placówek tego typu: Polskie Towarzystwo Archeologiczne (1952 r.), Oddział Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza (1959 r.), Koło Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego (1962 r.), Oddział Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego (1963 r.), oraz Koło Towarzystwa im. Marii Konopnickiej (1964 r.). Z innych, specjalistycznych towarzystw należy wymienić Zrzeszenie Prawników Polskich — Koło w Przemyślu (r. 1960), Polskie Towarzystwo Lekarskie — Koło Powiatowe w Przemyślu (1951 r.). Rozwój przemysłu w mieście doprowadził do powstania dość dużego skupiska inteligencji technicznej, zrzeszonej w stowarzyszeniach działających w ramach NOT-u.

W Przemyślu działa w chwili obecnej około 25 towarzystw, wśród nich poważną grupę tworzą humanistyczne. Łącznie zrzeszają one ok. 3000 ludzi; wśród nich jest wielu ofiarnych działaczy o wieloletnim stażu.

Okres powojenny w dziejach wielu towarzystw charakteryzują duże osiągnięcia. Nie sposób ich tutaj opisywać. Niemniej o kilku bardziej aktywnych skreślimy kilka słów, wskazując przede wszystkim na nowe formy pracy.

Szczególnie aktywnie w ostatnich latach pracowało Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Kontynuuje ono wydawanie „Roczników Przemyskich"; tom XI tego wydawnictwa został oddany do druku. W planach naukowo-badawczych i wydawniczych znalazła się również historia najnowsza. Podjęto systematyczne badania nad tradycjami rewolucyjnymi miasta. Drukiem ukazał się już pierwszy tom biblioteczki pt. „Materiały do dziejów ruchu robotniczego w Przemyślu", a w opracowaniu dr A. Gilewicza „Listy Witolda Regera, wysyłane w latach 1896—1902 z Przemyśla do Londynu do Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich". W przygotowaniu są już dalsze tomy: „Rady Robotniczo-Żołnierskie w Przemyślu (1917—1918)", Stanisław Łańcucki — działacz komunistyczny", „Działalność KPZU i KPP w Przemyślu", „Postępowe organizacje młodzieżowe w Przemyślu" (Zjednoczenie, Związek Polskiej Młodzieży Socjalistycznej, ZMP Zagiew, Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej itp.). Na ukończeniu znajduje się przygotowywana przez zespół miejscowych historyków „Monografia miasta Przemyśla", obrazująca dzieje miasta od czasów najdawniejszych po współczesne.

W swojej działalności TPN silny nacisk położyło na aktywizację gospodarczą miasta. Wspólnie z Komitetem Powiatowym PZPR odbyła się sesja naukowa z udziałem wybitnych specjalistów — geologów na temat: „Wykorzystanie miejscowych bo-

(Dokończenie na str. 8)

Konkurenci?

(Dokończenie ze str. 1)

czając dramatycznie, że: „odmawia przyjęcia „Kuriera" przez RSW „Prasę", gdyż nie chce przykładać ręki do grzebania zasłużonej, partyjnej gazety"...

Jak naiwnie i niepoważnie wyglądają dziś te przepowiednie. W ciągu kilku lat OBIE GAZETY podwoiły nakład, który łącznie osiąga obecnie od 160 do 175 tysięcy egzemplarzy dziennie. A przecież nie jest to wcale kres naszych możliwości. Wciąż jeszcze brak papieru powoduje dotkliwe ograniczenia w wysokości nakładu. Czytelnicy wiedzą o tym najlepiej, odchodząc nieraz od kiosku z pustymi rękami.

— To skandal — oburzają się niektórzy — te ciągłe braki! Dlaczego brak u nas papieru?

Składa się na to szereg przyczyn, ale dość przekonywający wydaje się jeden argument: w okresie międzywojennym najbardziej czytana w Lublinie gazeta zdołała osiągnąć, na krótko zresztą, rekordowy nakład 10 tysięcy egzemplarzy.

Ale i my sami nie zawsze docenialiśmy ogromne możliwości stwarzane nam przez awans kulturalny społeczeństwa. Mały przykład pro domo sua:

„Kurier Lubelski" rozpoczął swą działalność rewolwerowo. Każdy numer wypełniały obszerne rewelacje na temat głośnego wówczas w Lublinie morderstwa, a następnie gdy zabrakło tego tematu innych, sensacyjnych afer. Poważniejszą, ambitniejszą problematykę odmierzano jak kroplomierzem, aby przypadkiem nie zniechęcić i nie przepłoszyć czytelnika. Stopniowo jednak zaczęto ograniczać tematykę sensacyjną, więcej miejsca poświęcano na łamach gazety publicystyce na tematy polityczne, gospodarcze, obyczajowe i kulturalne. Fakt ten w najmniejszym stopniu nie wpłynął na zmniejszenie zainteresowania gazetą. Wprost przeciwnie — pewne środowiska zaczęły się odnosić do niej z większym zaufaniem.

Jak obecnie przedstawia się sytuacja czytelnicza na terenie Lubelszczyzny?

Największy nakład ma „Sztandar Ludu". Jest on najbardziej czytaną gazetą na terenie województwa. „Kurier" z kolei wykazuje pewną przewagę na terenie samego Lublina. Jak wykazała przeprowadzona przez tę redakcję parę lat temu ankieta czytelnicza, przeszło 30 proc. czytelników czyta obie gazety, a 6 proc. uzupełnia to jeszcze lekturą centralnej gazety, przeważnie „Trybuny Ludu", „Życia Warszawy", „Expressu Wieczornego" lub „Sztandaru Młodych". Dane chyba dość wymowne!

Ale pesymiści mieli jeszcze niejedną okazję do alarmów i czarnych przepowiedni.

Kiedy w roku 1960 potężnym głosem odezwała się nowa lubelska radiostacja pokrywając swym zasięgiem nie tylko Lubelszczyznę, ale wiele województw sąsiednich, a redaktor radia brał odwet za wszystkie złośliwości na temat „radiosupełki" pokazując depesze od załóg polskich statków, które słuchały Lublina aż na Morzu Śródziemnym — znowóż odezwały się głosy o groźnej konkurencji radia dla prasy.

— W Lublinie to jeszcze wytrzymacie, ale w głębokim terenie, gdzie gazeta dochodzi późno i nieregularnie, radio stworzy sytuację nie do pozazdroszczenia!

To prawda, że stan komunikacji w naszym województwie stwarza poważne problemy z dotarciem prasy do bardziej odległych miejscowości. Prawdą jest również, że możliwości szybkiego nadania informacji w radio w stosunku do możliwości najsprawniej robionej gazety są zupełnie niewspółmierne. Mimo to wszystkie czarne przepowiednie okazały się z gruntu fałszywe. Rozszerzony program rozgłośni lubelskiej docierający do 200 tysięcy odbiorników w województwie nie zagroził prasie lubelskiej.

Audycje radiowe rozwijają wśród słuchaczy zainteresowania wyższego rzędu, każą im sięgać po gazetę codzienną, czasopismo, książkę. Taka jest prawidłowość oddziaływania środków masowej propagandy.

Również telewizja — nowy krok w tej dziedzinie — nie spowodowała tu jakiejś zasadniczej zmiany. (A przecież od uruchomienia stacji przekaźnikowej na Lubelszczyźnie zanotowano 55 tysięcy telewizorów).

Ulega zmianie — zgodnie z postępem techniki — rola radia. To już przeważnie nie reprezentacyjny mebel, zajmujący honorowe miejsce w pokoju — na etażerce, pod rodzinnym zdjęciem. Tutaj obecnie staje telewizor. Małe, tranzystorowe radio jest dziś podręcznym, kieszonkowym sprzętem służącym w podróży, na spacerze i przy wielu innych okazjach. Z reguły też posiadacze telewizorów są słuchaczami radia i, jak znów wykazała ankieta czytelnicza „Kuriera", pilnymi czytelnikami gazet.

I wreszcie „Kamena"... Nie mnie, gościowi na tych łamach, oceniać działalność i rozwój pisma. Ale myślę, że imponująco szybki wzrost poczytności „Kameny" (nie obliczonej przecież dla masowego czytelnika) świadczy nie tylko o lepszym, bardziej dostosowanym do wymogów współczesnego odbiorcy sposobie redagowania, ale jest również dowodem rosnącego poziomu intelektualnego naszego społeczeństwa.

I właśnie ten wzrost poziomu, rozszerzenie potrzeb kulturalnych stawia na porządku dziennym problem dalszego rozwoju prasy codziennej, radia, telewizji, czasopiśmiennictwa fachowego, literackiego i społeczno - kulturalnego.

A konkurencja? Jeżeli nawet taki problem istnieje to sprowadza się raczej do tego, która redakcja szybciej i lepiej przekaże odbiorcom ciekawą, pilną wiadomość, czyj artykuł będzie lepszy i ambitniejszy. W ostatecznym rachunku zyskują zarówno czytelnicy i słuchacze, jak również dziennikarze mając niezbędny bodziec do lepszej i operatywniejszej pracy.

Lesław Gnot

POD STOCZKIEM NIE GRZMIĄ ARMATY...

STANISŁAW BURAKIEWICZ

21 maja odbędzie się w Lublinie IX Wojewódzki Zjazd delegatów Stronnictwa Demokratycznego. W okresie od poprzedniego Zjazdu w 1963 roku liczba członków SD na Lubelszczyźnie niemal podwoiła się. W tej chwili istnieją 152 koła, w tym 52 miejskie, 61 środowiskowych i 39 zakładowych. Głównym tematem obrad, poza wyborami władz, będzie rozwój usług i dalsza aktywizacja miast i miasteczek zgodnie z uchwałami IV Plenum CK SD.

Poniższy materiał mówi o aktywizacji Stoczka Łukowskiego.

(Red.)

DROGA z Łukowa do Stoczka jest jakby regularnie pocięta na kawałki: kilka kilometrów asfaltu, kilka kilometrów kocich łbów. W tym roku asfaltowane kawałki mają być połączone, ale jak na razie wynik jest taki, że rozmowę prowadzimy tylko wtedy, gdy samochód wjeżdża na gładką powierzchnię.

— O, z tego lasku wyszło ich kilku, rewolwery były gotowe do strzału. Ale tylko zabrali nam pieniądze i puścili — przypomina sobie Mieczysław Luty, gdy minęliśmy jasną sylwetkę nowej cegielni w Jedlance.

— Chyba rok po wojnie nasza drużyna z Łukowa grała ze Stoczkiem. Pojechaliśmy do Stoczka samochodem, ale gdy mieliśmy wracać silnik popsuł się na amen. 30 km wracaliśmy pieszo, a niektórym bardzo się spieszyło, bo w Łukowie odbywał się właśnie bal maturalny. Czy dzisiejszym piłkarzom przyszłoby do głowy, aby po meczu można wracać pieszo? — zapytuje drugi towarzysz podróży. Ale nikt nic nie mówi, bo odpowiedź jest aż nazbyt jasna.

Tuż przed Stoczkiem przez wysokie filary kolejowego mostu migają jakieś duże kompleksy budynków. To największa w ostatnich latach zdobycz miasta: wytwórnia mięsno-warzywna. Za półtora roku znajdzie w niej pracę prawie 300 ludzi, teraz przy budowie pracuje setka miejscowych.

Stoczek Łukowski nie tyle wyszedł, ile już wkroczył w ostatnią wojnę śmiertelnie ranny. We wrześniu 1939 r. około 85 proc. drewnianego miasta uległo zniszczeniu. Z ponad 4 tysięcy mieszkańców zaledwie tysiąc doczekał na miejscu zakończenia wojny. W tym tysiącu znalazło się ok. 20 ludzi, którzy we wrześniu 1944 r. założyli jedno z pierwszych na Lubelszczyźnie kół Stronnictwa Demokratycznego. Była to pierwsza w tym miasteczku organizacja, nie tylko polityczna. Czasy były jeszcze niepewne, wojna trwała i nie każdy miał ochotę jawnie głosić swoje przekonanie.

Nic dziwnego, że w pierwszych wyborach do władz miejskich na 24 radnych aż 20 było członkami SD. Burmistrzem został energiczny Mieczysław Luty. Kiedy zajrzał do kasy miejskiej, oprócz kilku niemieckich papierów nie znalazł ani grosza. A tu zarówno wojsko jak i ludność cywilna domagały się pomocy: materiałów budowlanych, żywności, opału...

Co prędzej więc uruchomiono targowisko. Stoczek przecież w okresie przedwojennym słynął na całą Europę z targów końskich. Teraz koni prawie nikt nie sprzedawał, ale napływała żywność, a z opłat targowych miasto mogło pokrywać napilniejsze wydatki. Uruchomienie zamkniętej przez Niemców rzeźni jeszcze zwiększyło wpływy. Potem najdotkliwiej odczuwano brak komunikacji. Burmistrz Luty po wielu daremnych zabiegach dotarł do ministra na wiosnę 1945 r. i otrzymał przydział pięciu samochodów z demobilu. Ale już wtedy okazało się, że przydział to jedna, a samochody to druga, znacznie trudniejsza sprawa. Kiedy w Gdyni papierki z ministerstwa uznano za ważne, ale „w tej chwili niemożliwe do realizowania", w nocy po prostu napisał kredą na pięciu samochodach stojących w stoczni: Stoczek Łukowski. Na drugi dzień prowadził całą kolumnę do Lublina. No i miasto za kilka dni uruchomiło na własny, bardzo dochodowy rachunek komunikację aż na pięciu liniach: do Warszawy, Mińska, Siedlec, Łukowa i Garwolina.

W tym też czasie opracowano rzecz na owe czasy niezwykłą: plan odbudowy miasta. Było z tego powodu wiele kwasów bo plan nie pozwalał na chaotyczną, drewnianą zabudowę czy odbudowę na miniaturowych działkach. Może nawet tempo odbudowy było nieco wolniejsze, ale dzięki temu uporządkowane, prawie wyłącznie z cegły. Plan z latami ulegał pewnym zmianom i ulepszeniom, ale jego zasady przetrwały do dzisiaj.

Te właśnie początki, zainicjowane i kierowane przez członków koła Stronnictwa Demokratycznego, doprowadziły do tego, że dzisiejszy Stoczek Łukowski w niczym prawie nie przypomina dawnego, zabiedzonego miasteczka. Stały się zaczynem aktywizacji, która tutaj rozpoczęła się wcześniej, niż to słowo stało się modne czy aktualne w całej Polsce. Z tych pierwszych i nieco późniejszych lat trzeba wspomnieć nazwiska szczególnie dla miasta zasłużonych ludzi, w znacznej większości członków SD: Feliksa Świercza, Wacława Michałowskiego, Piotra Kaczora, Mariana Pudowskiego, Henryka Błaszczyka, Henryka Sywula, Stanisława Parobczyka — dzisiejszego kierownika Zakładu Gospodarki Komunalnej, Stanisława Wysockiego... No i dwóch pozostałych braci Lutych: Edwarda i Zygmunta. Edward Luty, dzisiejszy wiceprzewodniczący MRN, jest radnym miasta od 1936 r. Swego czasu mówiono, że władze miejskie w Stoczku zostały „zalutowane" — ale to chyba wyszło miastu na korzyść.

Później sytuacja nieco się zmieniła. Powstały komórki PPR i PPS, a potem PZPR, koło ZSL, inne organizacje i stowarzyszenia. Życie coraz bardziej nabierało rumieńców, stawało się pełniejsze. Dzisiaj na czele władz miejskich stoi młody, przedsiębiorczy przewodniczący Mieczysław Izdebski, członek partii. Współpraca układa się harmonijnie, nikt nie powołuje się na zasługi przeszłości, a wszyscy wspólnie troszczą się o dzień dzisiejszy i jutrzejszy.

W towarzystwie pana Parobczyka chodzę po miasteczku i niemal na każdym kroku odkrywam coś, co nie jest podobne do dnia wczorajszego. Część miasta ma wodociąg, większość ulic wyłożona asfaltem, kończy się budowę piątego bloku mieszkalnego — nie licząc kilkudziesięciu domków prywatnych, dosłownie wszędzie chodniki, Wiejski Dom Towarowy we własnym budynku, rzemieślniczy pawilon usługowy, odbudowany i powiększony dom kultury, własna betoniarnia zatrudniająca 50 ludzi, piękna szkoła Tysiąclatka, ośrodek zdrowia, apteka, pralnia i łaźnia...

Ale chyba największą dumą ostatniego okresu jest osiedle campingowe nad rzeką Świder. Domków jest dopiero dwadzieścia, ale równocześnie obok jeden ze stawów rybnych zamieniono na piękne kąpielisko, do którego w letnie niedziele zjeżdża i ponad tysiąc ludzi, nawet z dalekich Siedlec, Lublina czy Warszawy. Jest kawiarnia, trampolina i przede wszystkim wspaniałe, leśne powietrze. Latem zaczną się prace przy budowie wielkiego zalewu, w którym całe miasto widzi wielką szansę turystycznego awansu. Nowy most z wysokim nasypem, po którym biegnie szosa do stolicy, jest już gotowy jako główna zapora tego zalewu.

Kilkaset metrów za tym mostem stoi na wzgórzu prosty, kamienny pomnik bitwy, jaką właśnie tutaj 14 lutego 1831 r. stoczył gen. Dwernicki. Do stóp pomnika wchodzi się po 94 stopniach, wyłożonych pięknie betonowymi płytami. Sam pomnik też został niedawno pięknie odnowiony — jedno i drugie wykonano w czynie społecznym. Stoczkowianie dumni są z tej zwycięskiej bitwy, ale jeszcze bardziej cieszą się z tego, że już nie grzmią armaty, że ich miasto pięknieje, bogaci się że służy im coraz lepiej i coraz pełniej. I nie są zarozumiali z tego, że zawdzięczają to przede wszystkim samym sobie.

JERZY FELIKSIAK

Na Łysej Górze

Zanim jeszcze krzyż stanął ziemi dając swe imię,
lud tu zwierzał się z nieszczęść guślarzowi i wiedźmie.
Ale wróżby, jak urny, bór zasypał igliwiem,
przyszedł zakon i lubczyk zastąpił miłosierdziem.

Współcześni nie przychodzą po wróżbę lub pokutę.
I klną, gdy buty zniszczą w kamiennym usypisku.
Benedyktyni w trumnach ukryli twarze smutne,
ziemia tylko pięknieje wbrew obrazom taszystów.

Łódź

Białystok - sportowe przedszkole

(Dokończenie ze str. 1)

mują drużyny Łodzi i Warszawy. A jednak, z chwilą, gdy ci młodzi stają się seniorami, giną. Najlepsi emigrują, kradną nam ich silne ekonomicznie kluby z innych okręgów.

Kibic powiedziałby prawdę. Ubogi jest sport wyczynowy 140-tysięcznego miasta wojewódzkiego Białegostoku i jego powiatów. Ciągle wlecze się w ogonie polskich okręgów, nie może „stanąć na nogi" w kategorii seniorów.

Region białostocki nie ma tradycji sportowych, choć przed wojną Jagiellonia, mająca w swoim składzie Kucharskiego, Zasłonę, Luckhausa i Półtoraka, należała do ścisłej czołówki lekkoatletycznej kraju. Kultura fizyczna, w szerokim tego słowa znaczeniu, zaczęła zdobywać prawo obywatelstwa po II wojnie światowej i zdobywa jeszcze po dziś dzień. Niedawno w Białowieży odbyła się sesja wyjazdowa Klubu Dziennikarzy Sportowych. Przybyło kilkudziesięciu dziennikarzy z całego kraju, przyjechali działacze Rady Głównej LZS, jako że tematem obrad był rozwój sportu wiejskiego. Goście przekonali się, że np. we wsi Dubiny (pow. hajnowski) członkowie tamtejszego koła LZS bezskutecznie walczą o kawałek placu pod budowę boiska, nie mogąc się go doprosić u żadnych władz.

Gdy przypadkiem będziecie w mieście powiatowym Sokółce — wylęgarni talentów piłkarskich, oczywiście na skalę wojewódzką — udajcie się na tamtejszy obiekt zwany stadionem. To przysłowiowy obraz nędzy i rozpaczy. Płyta ma nierówności, a nie ogrodzone boisko nie posiada elementarnych urządzeń sanitarno-higienicznych. Z wyjątkiem rad narodowych na rzecz miejscowego klubu nie świadczy żaden zakład pracy, żadna instytucja.

Władze wojewódzkie, a szczególnie WKKFiT, RW LZS, niektóre okręgowe związki sportowe i kluby czynią dużo, aby poprawić sytuację w białostockim sporcie. Za słabe jest jednak jeszcze poparcie i pomoc rad narodowych wszystkich szczebli, zakładów pracy i instytucji. Zilustruje to najlepiej następujący przykład: w Zielonej Górze rady narodowe łożą na wychowanie fizyczne i sport na jednego mieszkańca w stosunku rocznym 21,29 zł, w Warszawie — 12,57 zł, w Szczecinie — 12,14 zł, we Wrocławiu — 10,27 zł, a w woj. białostockim — zaledwie 3,40 zł!

Przy, załóżmy, trzykrotnie wyższych nakładach ze wskazanych źródeł, sport białostocki wypłynąłby na szerokie wody krajowe. Jednak długo jeszcze nie dorówna czołówce krajowej, a nawet trudno mu będzie rywalizować ze średnio usportowionymi okręgami, mającymi kluby oparte o wielkie zakłady pracy — giganty. Właśnie owe giganty oraz centralne ośrodki wojskowe i „gwardyjskie" mają dziś niemal wyłączny monopol na sport o wysokim poziomie, wiodą w nim wyraźny prym. Te bardzo mocne pod względem materialnym kluby stać na stworzenie dobrych warunków dla swoich zawodników.

Białostocczyzna, wiadomo, jest regionem o wyraźnej przewadze rolnictwa, województwem bez sieci wielkich zakładów pracy. I tu właśnie leży pies pogrzebany. Jest to poniekąd przyczyna obiektywna, której prawa powodują, że wybijający się sportowcy — seniorzy, nie znajdując na miejscu rozdmuchanych gdzie indziej do przesady warunków, uciekają do klubów pozabiałostockich. Przy czym ich ucieczkę poprzedza zazwyczaj ukazanie się emisariuszy klubów-potentatów, tzw. kaperowników.

Z piłkarzy, którzy opuścili Białostocczyznę, można by stworzyć wcale niezłą drużynę. I tak, Karczewski z Gwardii Białystok bronił przez długie lata (obok Leśniaka) bramki krakowskiej Wisły. Dwaj napastnicy ełckiego Mazura, Białowiec i Załęski, zdobywali bramki dla grającego wówczas w II lidze Bałtyku Gdynia. Z Mazura Ełk odszedł do Warmii Olsztyn stoper Romańczuk. Świetny skrzydłowy Mazura, Michalczyk, broni dziś barw Staru Starachowice, podobnie jak napastnik suwalskich Wigier — Hans. Niezły komplecik futbolistów, prawda?

W Białymstoku wychował się bokserski talent czystej wody — Gałązka. Miejscowa Gwardia skompletowała silną drużynę, złożoną z samych miejscowych zawodników. Były duże szanse na awans do I ligi. Gałązkę powołano do wojska do Warszawy. Walczył w Legii i... w niej już pozostał. Borysowicz odszedł do Jelcza. Na domiar złego Sosnowski zachorował i... prysły szanse na wejście do ekstraklasy. Jesteśmy sportowym przedszkolem dla innych.

Nie wyliczam już plejady tych sportowców, którzy odeszli na wyższe studia do innych miast, bądź też wywodzą się z Ziemi Białostockiej. Najbardziej znani z nich: bokser Walasek, oszczepnicy — Radziwonowicz i Nikiciuk, szermierze — Pręgowski i Kopczyński.

Tak, Białystok długo nie strzeli gola, nie rzuci najdalej, nie pobiegnie szybko.

Paweł Kowalski

Rzeszowski student bez przeszłości

MIROSŁAW DERECKI

W Rzeszowie problemy studenckie same wypływają w trakcie każdej rozmowy. W Rzeszowie, podobnie jak w Białymstoku, sprawy własnego szkolnictwa wyższego są tematem dnia. Przy czym Rzeszów charakteryzuje żarliwość neofity. Rzeszowscy studenci są chlubą miasta, ale... coś jakby żal dźwięczy w wypowiedziach wielu osób, kiedy się zagadnie o studentów.

*

Zwolennicy „symboliki faktów" powinni być usatysfakcjonowani opisem najbliższego otoczenia Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie. WSP mieści się w peryferyjnej dzielnicy. Wokoło ciągną się błotniste uliczki, przy których stoją małe domki o dwuspadowych dachach. Nowoczesny budynek uczelni sąsiaduje ze starą stodołą. Zaś z okien WSP widać panoramę Rzeszowa ze „strzelającymi" tu i ówdzie ku niebu wieżowcami. Druga rzeszowska uczelnia, Wyższa Szkoła Inżynierska usytuowana jest na terenie wzniesionego po wojnie robotniczego osiedla WSK, co także posiada odpowiedni wydźwięk.

Rzeszów to najmłodszy ośrodek akademicki w Polsce. Jeszcze niedawno Wyższa Szkoła Inżynierska była Wieczorową Szkołą Inżynierską, a Wyższa Szkoła Pedagogiczna — filią WSP w Krakowie. Autonomię uzyskała dopiero 30 sierpnia 1965 roku.

Aby doprowadzić do utworzenia wyższych uczelni, władze rzeszowskie dokonały ogromnego wysiłku. W dodatku, ambicją miasta i województwa było zapewnienie młodzieży oraz kadrze pedagogicznej przynajmniej optymalnych warunków pracy przy istniejącej na razie prowizorce. Do dyspozycji studentów oddano nowoczesne domy mieszkalne. Wojewódzka Rada Narodowa przeznaczyła kilka pięter jednego ze swych budynków na żeński dom akademicki. Uczelnie działają w pomieszczeniach zastępczych, ale w niedalekiej przyszłości rozpocznie się budowa osobnego miasteczka akademickiego.

*

Pierwszy etap prac związanych z tworzeniem wyższych uczelni i szał organizacyjny już minęły, a miejscowa prasa rzadziej zamieszcza artykuły w rodzaju: „Nobilitacja: wyższe uczelnie". Gdy jednak nadszedł okres względnego spokoju, w mieście, także wśród władz, wyczuwa się jakby lekki zawód. Bowiem oprócz wszystkich innych aspektów miano na uwadze także ten, że uczelnie będą „zaczynem kulturalnym", „skonsolidują" środowisko kulturalne itd. Tymczasem miesiące i lata mijają, a studenci wciąż nie nadają tonu, nie wnoszą wkładu i wogóle nie bardzo zaznaczają swoją obecność w mieście. A spodziewano się teatrzyków eksperymentalnych, satyrycznych, big-beatu, intelektu... Co prawda z tym tonem i fermentem nawet w Krakowie i w Warszawie ciężko, nie mówiąc już pro domo sua o „studenckim", z pewnymi tradycjami, Lublinie, w którym uczy się ponad dziesięć tysięcy młodzieży na pięciu wyższych uczelniach. Rzeszowskie środowisko studenckie liczy niewiele ponad tysiąc osób.

— *Pomiędzy studentami a rzeszowskimi ugrupowaniami twórczymi brak kontaktu* — skarżył się jeden z tutejszych plastyków. — *Ale to jeszcze pół biedy. Najgorsze, że nasi studenci nie mają żadnych zainteresowań poza nauką. Tkwią na uczelniach, nie odczuwają potrzeby uczęszczania na koncerty, wystawy plastyczne, dyskusje, odczyty.*

Z pozycji rzeszowskiego studenta można by na to odpowiedzieć, iż rzeszowskie środowisko kulturalne i artystyczne niezbyt silnie oddziaływa na samych studentów. Nie oddziaływa zaś choćby z tej przyczyny, że samo jest niepełne i nie ukształtowane. Dotąd nie ma w Rzeszowie oddziału Związku Literatów Polskich bo brak odpowiedniej liczby literatów zamieszkałych w województwie. Środowisko dziennikarskie ogranicza się do jednego dziennika oraz niewielkiej rozgłośni radiowej, aktorskie — do jednego teatru. Istniejące środowiska nie mają czy nie znalazły lokalu, gdzie grupowałoby się życie artystyczne i kulturalne; działają „w rozsypce". Nawet Klub Międzynarodowej Książki i Prasy będzie oddany do użytku dopiero w przyszłym roku. Naprawdę silne środowisko artystyczne to plastycy skupieni wokół Domu Sztuki, budynku, którego może pozazdrościć Rzeszowowi każde miasto w Polsce. Nawiasem mówiąc w Rzeszowie (podobnie jak w Białymstoku i Kielcach, które nie mają oddziałów ZLP) myśli się nad zastosowaniem pewnego fortelu, by uzyskać wymaganą statutowo liczbę (10) literatów. Fortel polega na ściągnięciu do miasta pisarzy „wywodzących się z tych stron i nierozerwalnie z nimi związanych", a obecnie mieszkających w innych województwach. Należy im tylko zapewnić odpowiednie warunki pracy. Idea piękna, choć forma realizacji może przypominać wzmacnianie słabszych drużyn piłkarskich silniejszymi zawodnikami z innych miast.

Zresztą studenci o tych wszystkich kłopotach raczej nie wiedzą, ponieważ nie interesują się sprawami środowisk kulturalnych.

A wszak to oni mają je skonsolidować!

*

Istnieje w Rzeszowie grupa osób, która bierności środowiska studenckiego dopatruje się w metodzie wychowawczej stosowanej przez pedagogów. Młodzież studencka jest według tych osób trzymana „krótko", na zasadzie młodzieży licealnej. W Wyższej Szkole Inżynierskiej panuje jakoby szczególny „dryl". Wyższa Szkoła Inżynierska przyjęła zasadę jak najszybszego wykształcenia kadr potrzebnych przemysłowi. Interesowanie się czymkolwiek poza nauką jest zbędną stratą czasu. (Tu należy zauważyć, że w znanym w Rzeszowie, a nawet w kraju teatrzyku poezji „Meluzyna" spotkałem kilku studentów WSI).

Druga rzeszowska uczelnia przygotowuje kadry pedagogiczne. Filologię polską, rosyjską, matematykę, fizykę, prace techniczne studiuje łącznie około 600 osób. Tam sytuacja ma być podobna. Młodzież jest przeciążona pracą. Chodzenie do kawiarń jest źle widziane. Fakt należenia do pozauczelnianych zespołów artystycznych — również.

*

Jeszcze inną część społeczeństwa nurtuje problem obyczajowości. Jak wiadomo, student to istota zepsuta. Tuż po zdaniu egzaminu na wyższą uczelnię odkrywa w sobie pociąg do takich praktyk jak: całowanie się wieczorami na ulicy z osobnikami płci odmiennej, rozbieranie się w swym pokoju przy niezbyt zasłoniętych oknach, odwiedzanie koleżanek, późne wracanie do domu, późne kładzenie się spać. W związku z tym mieszkańcy budynków sąsiadujących z domami akademickimi są zgorszeni obserwując przez lornetki(!) rozbierające się studentki. Ci, którzy mają większe możliwości zapobiegania złu — interweniują.

Interesujący jest w tej mierze przykład domu akademickiego dla dziewcząt, budynku należącego do WRN. Górne piętra oddano tam do dyspozycji studentek, na dolnych mieści się ośrodek szkoleniowy WRN wraz z hotelikiem, w którym panują dość ostre rygory. Rygory te zaczęto stosować również w odniesieniu do studentek. Trzeba było długo przekonywać wiele osób, że student to osoba pełnoletnia, która może późno wracać do domu i że może przyjmować w swoim pokoju osobę płci odmiennej, a w dodatku podlega władzom uczelnianym a nie WRN. W tym wypadku wystarczyła metoda łagodnej acz zdecydowanej perswazji. Gdzie indziej metody wychowawcze stosowane przez administrację domu studenckiego doprowadziły do małego buntu studentów. Dzięki taktowi władz uczelnianych nieprzyjemną sytuację zażegnano.

*

Przed wojną Rzeszów liczył trzydzieści kilka tysięcy mieszkańców i był miastem powiatowym. Dziś ma ich dwa razy tyle i jest stolicą województwa. Wraz z rozwojem przemysłu powstają tu całe nowe dzielnice robotnicze. To powoduje stały napływ ludności wiejskiej, w konsekwencji ciągle utrzymuje się niedosyt inteligencji pracującej. Pierwszoligowa „Stal" ugruntowuje tradycje miejscowego sportu, ale Rzeszów ma kompleks braku większych tradycji kulturalnych. Stąd może ta niecierpliwość i przesadne gorączkowanie się faktem pojawienia się w mieście nowego gatunku młodego inteligenta dotąd mało spotykanego w Rzeszowie. W powietrzu krzyżują się zarzuty i pretensje, plotki, ubolewania i skargi. Zainteresowanie sprawami nowo otwartych uczelni osiąga wysokie, ale nie zawsze najwłaściwsze płaszczyzny. Uczelnie działają na peryferiach, ale w centrum powstał obraz studenta, nie sprecyzowanego bliżej osobnika: leniwego intelektualisty obłożonego książkami, będącego zarazem nieszczęsnym kujonem, z grzbietem posiniaczonym belferską trzciną, a duszą poplamioną niemoralnymi uczynkami.

Rzeczywisty obraz wygląda inaczej. To fakt, że sylwetka studenta rzeszowskiego odbiega od sylwetki przeciętnego polskiego studenta. Student w wydaniu rzeszowskim to przede wszystkim osobnik bardzo młody. Najliczniejsza rzeszowska uczelnia, Wyższa Szkoła Pedagogiczna, dociągnęła na razie do trzeciego rocznika studiów! W historii żadnej z uczelni rzeszowskich nie została jeszcze napisana ani jedna praca magisterska! Środowisko jest mniej przemieszane niż w innych ośrodkach akademickich. Pod względem geograficznym i socjalnym. Większość studentów rekrutuje się z Rzeszowszczyzny. Ogromny odsetek studiujących to niedawni mieszkańcy rzeszowskich wsi i miasteczek, absolwenci prowincjonalnych liceów. Często brak im obycia i pewności siebie. Może częściej niż w innych środowiskach — brak pieniędzy. Nie istnieją tutaj jeszcze starsi koledzy bardziej otrzaskani ze studiami a mniej skrępowani nauką, którzy nadawaliby ton uczelni i oddziaływali na młodsze roczniki. A na dwóch pierwszych latach panuje zawsze obfitość zajęć. Dochodzi do tego brak umiejętności nauki i organizowania wolnego czasu. W przypadku WSP sam charakter budynku uczelni z pewnością nie pozostaje bez jakiegoś wpływu na psychikę studenta. Szkoła mieści się w typowej „Tysiąclatce", a zajęcia odbywają w „klasach" w jakich siedziało się przez jedenaście lat. Zrzeszenie Studentów Polskich ma tutaj jedynie dwuletnie doświadczenia. ZMS dopiero styka się z formami pracy wśród studentów. ZMW jeszcze w ogóle nie wkroczyła na teren uczelni. Brak klubu środowiskowego, w którym by się zbierali studenci i tam po swojemu rządzili. Brak kawiarń, w których się siedzi hurmą, albo w czasie tańca blokuje cały parkiet. Wszystko dokoła pachnie świeżą farbą.

Krążą plotki, że studentom nie wolno uczęszczać do kawiarń. Jest to nieprawda, chociaż kawiarń zbyt wiele nie ma. Prawda leży chyba gdzieś pomiędzy małomiasteczkowym wystawaniem wieczorami na ulicy a skrępowaniem i brakiem pewności siebie. Zapewne niektórzy wykładowcy, rekrutujący się spośród pedagogów średniego szkolnictwa, niezbyt chętnie patrzą na „kawiarniany styl życia". Ale i w samym aparacie uczelnianym wciąż jeszcze wiele odbiega od normy. Zanim zostanie wybudowany właściwy ośrodek uczelniany, siedzi się trochę „na walizkach". Zakłady naukowe jeszcze na dobre nie działają. Wielu młodych pracowników nauki znajduje się w trakcie przenosin z macierzystych uczelni do Rzeszowa. Jeszcze się tutaj nie zaklimatyzowali. Niedawno pracowali pod kierunkiem swoich profesorów, teraz muszą wykazać doświadczenie ludzi na odpowiedzialnych stanowiskach. Śmieją się z plotek krążących w mieście, ale i potrafią jeszcze przyznać rację, gdy trafi się konkretny zarzut.

Osoby, które przed dwudziestu laty rozpoczynały studia na UMCS w Lublinie, znajdą tu może pewne analogie (oczywiście uwzględniając ogromną poprawkę) z atmosferą tamtych czasów. Na pewno zaś rzuci się w oczy jedno: rzeszowskie uczelnie i sami studenci znajdują się dopiero w przededniu tworzenia tradycji wyższej uczelni, tradycji studenckich na użytek własny i miasta. Za dziesięć lat może już coś tam będzie można powiedzieć w Rzeszowie o „uniwersyteckich" tradycjach.

A pierwsze roczniki studentów, choć wyjdą w świat z przydomkiem „pionierów", będą niestety uboższe od swoich następców o coś niezbyt uchwytnego, a jednak ważnego.

* * *

Warto przypomnieć, że na obszarze trzech obecnych województw: białostockiego, lubelskiego i rzeszowskiego istniał przed wojną tylko jeden uniwersytet. Dziś działa tutaj dziewięć wyższych uczelni dziennych. Najstarsze tradycje, ponad czterdziestoletnie, ma Lublin. Od dwudziestu lat jest on najpotężniejszym ośrodkiem uniwersyteckim we wschodniej części kraju. W Lublinie wyższe uczelnie zdołały się stać już szczególną, ale integralną częścią miasta. Są dla niego rzeczą oczywistą. W pozostałych województwach, rzecz się ma inaczej. Taki na przykład Białystok swoją Akademię Medyczną i swych studentów uczynił osią zainteresowań, hołubi serdecznie i nieco przesadnie ...idealizuje. Prawda, fakt posiadania własnej uczelni wciąż przydaje splendoru miastu i województwu. Rzeszów wyidealizował sobie obraz „miasta wyższych uczelni". Pierwsze własne realizacje obserwuje z dumą, ale też z niecierpliwością i odrobiną... podejrzliwości.

Jutro będzie za późno

BARBARA jest wysoką, tęgą dziewczyną. Ostatnio dziesięć dni i nocy spędziła poza domem, poprzednie wyprawy były znacznie krótsze. Podobno pojechała z koleżanką do Bychawy, gdzie tamta ma ciotkę. Podobno.

Barbara nie chce się uczyć, coraz rzadziej bywa w szkole, częściej natomiast można ją spotkać w Parku Ludowym. Nie popełniła jeszcze żadnego przestępstwa, ale bezradna matka przyprowadziła ją do Mieczysława Przysuchy, przewodniczącego Wydziału dla Nieletnich Sądu Powiatowego w Lublinie. Rozmowa trwa już godzinę. Zręczność, cierpliwość i dobra wola sędziego bardzo powoli przenikają uparte milczenie dziewczyny. Dopiero alternatywa — „szkoła albo zakład poprawczy" — zmusza Barbarę do odpowiedzi. Oczywiście, czternastoletnia dziewczyna wróci do 6 klasy szkoły wieczorowej. Na jak długo?

— To zależy nie tylko od szkoły, ale przede wszystkim od rodziców — powiedział sędzia, kiedy zostaliśmy sami. — Słyszał pan przed chwilą, jak skwapliwie córka potwierdzała pretensje matki do kierowniczki szkoły? Zdarza się często, że rodzice nie potrafią wychowywać dzieci, lub poświęcają im za mało uwagi.

— Wydaje mi się, że w wypadku, kiedy oboje rodzice pracują, słuszniej będzie mówić o braku czasu, niż o złych intencjach wychowawczych?

— Zastrzeżenie na pozór słuszne. Na jego korzyść przemawia nawet statystyka przestępczości wśród nieletnich: niemal 70 proc. młodych przestępców na Lubelszczyźnie pochodzi z miast, gdzie możliwości uniknięcia kontroli rodzicielskiej są większe niż we wsiach, m. in. ze względu na pracę matki i ojca. Ale czym wytłumaczyć fakt, że przytłaczający odsetek nieletnich przestępców to dzieci mające oboje rodziców, a zaledwie 1,5 proc. obejmuje sieroty których ojciec lub matka nie żyją, siłą rzeczy pozbawione ściślejszej kontroli?

— Czyli moralność panująca w domu i codzienna troska o dzieci, decydują, jak zawsze, o postępowaniu chłopca lub dziewczyny?

— W najwyższym stopniu. Badania nasze wykazały, że np. nieletni przestępcy pijący alkohol wywodzą się wyłącznie z rodzin alkoholików. Równie wysoka liczba zdeprawowanych to dzieci rodzin rozbitych, w przededniu rozwodu, to młodzież będąca narzędziem wzajemnych intryg rodzicielskich.

— Coraz częściej dowiadujemy się o kradzieżach, rozbojach dosłownie w biały dzień i innych, drobniejszych przestępstwach popełnianych przez nieletnich...

Rzeczywiście. W 1964 roku przed czterema działającymi na Lubelszczyźnie sądami dla nieletnich stanęło 2452 oskarżonych w wieku od 16 do 17 lat, a w roku ubiegłym liczba ta zwiększyła się do 2752. Niepokojącą wymowę tej konfrontacji statystycznej łagodzi fakt wyżu demograficznego oraz lepsza sprawność wykrywania przestępstw, co jednak nie jest w stanie obniżyć wagi i skomplikowania problemu.

— W jakim wieku nieletni najczęściej łamią prawo?

— Około 26 proc. ma w chwili popełnienia przestępstwa 16 lat. Jest to więc młodzież, która wyszła już spod kontroli szkoły podstawowej lub zawodowej i zrezygnowała z dalszej nauki, a nawet pracy. Szczególny jednak niepokój budzi wysoki, stale wzrastający i dziś 37-procentowy udział w wykroczeniach dzieci do lat 13. Obydwa zjawiska są powodowane jedną przyczyną: słabą opieką ze strony rodziców i tolerowaniem drobnych kradzieży, które w konsekwencji prowadzą do spraw poważnych.

— Nie wyczerpuje to chyba rejestru przyczyn?

— Naturalnie. Jeżeli widzę jeszcze kilka, to jednak uważam je za drugorzędne. Myślę o migracji ludzi ze wsi do miast i trudnościach towarzyszących adaptacji w nowym środowisku, o naturalnym — w określonym wieku — poszukiwaniu emocji, którą odnajduje się w gangu rabunkowym, takim np. jak niedawno zlikwidowany w Lublinie o „specjalizacji" samochodowej. Statystyki mówią, że niemal połowa przestępstw dokonywana jest w grupach, mniej lub bardziej zorganizowanych, którym przewodzą często dorośli, ale także i nieletni recydywiści. Zazwyczaj kradną, włamują się do kiosków i piwnic, napadają na rówieśników i starszych, wymuszając okup.

— Słowem przede wszystkim rodzice powinni ściśle kontrolować postępowanie dzieci, wpajać im zasady moralnego postępowania, a kiedy zajdzie potrzeba — zdecydowanie interweniować. O tym wszystkim rodzice na ogół wiedzą, lecz w natłoku codziennych kłopotów nie zawsze mogą wywiązywać się z obowiązków wychowawczych wobec dzieci. Wykluczam tu, oczywiście, rodziców, którzy sami wymagają „opieki".

— Powraca pan do pierwszego pytania, więc odpowiem krótko, że każdy, kto decyduje się na posiadanie potomstwa, powinien pamiętać o późniejszych kłopotach. Zdaję sobie jednak sprawę, że władza i autorytet rodzicielski, poparte rzeczywistą troską o dzieci, mogą pewnego dnia okazać się niewystarczające, bezsilne. Kiedy zastanawiamy się, jak temu zapobiec, jak w ogóle chronić młodzież przed drogą przestępstwa czy recydywy — wyłania się przed nami problem wolnego czasu. Chodzi o organizowanie wolnego czasu młodzieży, o jego wypełnienie czymś, co zainteresuje i przyciągnie młodzież, okaże się bardziej atrakcyjne od wystawania na dworcach, pod kinami czy w parkach. Mając na uwadze młodzież przestępczą, wiele obiecujemy sobie po współpracy z ZHP, ZMW i ZMS.

— Na czym konkretnie opiera-cie nadzieję?

— Choćby na tym: około 91 proc. nieletnich podsądnych nie należało do żadnej z tych organizacji, co najlepiej świadczy o wychowawczym oddziaływaniu związków, skupiających element najlepszy. Chodzi jednak o to, aby spojrzały one uważniej właśnie na młodzież trudną, nawet karaną. Widoczne osiągnięcia na tym polu ma ZHP. Sądzę, że także przy ZMW i ZMS można by tworzyć grupy współdziałające z organizacjami, aby po okresie próbnym nadawać im rangę członkostwa. Przy okazji chciałbym wspomnieć, że obecnie, po obniżeniu do lat 16 granicy wieku pozwalającej na przyjmowanie do ochotniczych hufców pracy ZMS, wielu naszych podopiecznych znalazło w nich pracę i, być może, początek nowej drogi życia.

— A jak wygląda opieka nad młodzieżą przestępczą uczęszczającą do szkół?

— Zwiększyliśmy poważnie liczbę kuratorów sądowych, wspólnie z Inspektoratem Oświaty organizujemy obozy wędrowne. W tym roku np. 20 chłopców wybiera się na Ziemię Lubuską, w latach ubiegłych przemaszerowali Bieszczady i Wybrzeże. Poza tym przy trzech szkołach podstawowych działają od roku 1962 świetlice, skupiające podopiecznych sądu, którzy odrabiają tam lekcje i spędzają wolny czas. Dziś stwierdzamy u nich lepsze wyniki w nauce i zachowaniu, choć początkowo nie przynosili podręczników, ukrywali, co mają zadane. Okresowo spotykamy się z rodzicami tych dzieci, analizujemy wyniki. Współpracujemy przy tym z Komendą Hufca ZHP, pewną pomoc materialną otrzymaliśmy z Wojewódzkiego Komitetu Przeciwalkoholowego.

— Wspomniane przez pana konkretne metody zapobiegania przestępczości i wychowywania młodzieży trudnej dotyczą grupy znajdującej się na wolności. Nie mówiliśmy dotąd o zakładach zamkniętych.

— Na Lubelszczyźnie mamy tylko jedno schronisko w Dominowie, które od lipca zostanie przystosowane na zakład poprawczy. Brak natomiast zakładu wychowawczego, do którego kieruje się nieletnich do lat 13. Nie stwarza to nam jednak większych trudności, ponieważ liczymy głównie na reedukację w dotychczasowym środowisku oraz na nowe formy wychowawcze. Jedną z nich, już sprawdzoną z dobrymi rezultatami, jest formowanie grup półwolnościowych. Np. zakład poprawczy w Iglicach posiada swoje grupy, złożone z najlepszych chłopców, w Słocini Szczecińskiej. Mieszkają w hotelu robotniczym, uczą się zawodu i pracują — pod opieką kuratorów. Każdy z nich, jeśli nie popełni jakiegoś wykroczenia, może po pewnym czasie przejść do zwykłego hotelu pracowniczego oraz uzyskać pracę zgodną z kwalifikacjami, czyli ma pełne szanse rehabilitacji.

— Podobno opracowuje się nową ustawę, dotyczącą nieletnich do lat 13?

— Tak. Chodzi o kierowanie spraw o przestępstwa, popełnione przez dzieci w tym wieku, do komisji wychowawczych przy szkołach podstawowych, czyli o przejście z czynnika sądowego na oddziaływanie społeczne. Umożliwi to bardziej wnikliwe analizowanie przestępstw i częstsze kontakty z rodzicami, ponieważ sprawy będą rozpatrywane jako tzw. opiekuńcze, czyli dotyczące także rodziców.

Rozmawiał:
Ireneusz J. Kamiński

Fot. A. Polikowski

Bilans walk na Lubelszczyźnie

NA podstawie zachowanych dokumentów — rozkazów dziennych i pisemnych meldunków — a także oświadczeń uczestników można z dużą dokładnością odtworzyć przede wszystkim akcje Zgrupowania w ostatniej fazie jego działań na Lubelszczyźnie. Poniżej w dużym streszczeniu podajemy spis tych działań począwszy od chwili podziału Zgrupowania na dwie działające osobno brygady.

A oto krótki bilans walk i akcji dywersyjnych Zgrupowania od chwili jego pojawienia się na Lubelszczyźnie: zniszczono 22 parowozy, uszkodzono 2, zniszczono 94 wagony, uszkodzono 64, w sumie przerwa w ruchu na liniach kolejowych trwała 560 godzin, zabito 240 Niemców, raniono 234.

Działania III Brygady

9.VII.1944 r. — pomiędzy Podkulami a Borowem zniszczono samochód ciężarowy z przyczepioną armatką, zabito 32 Niemców.

10.VII. — wysadzono w powietrze 2 samochody ciężarowe z ckm — zabito 54 Niemców.

11.VII. — pod Parczewem od strony Łukowa zniszczono 1 parowóz i 7 wagonów — strat nie ustalono. Pod Parczewem od strony Lublina zniszczono parowóz i 5 wagonów, uszkodzono 6 wagonów.

12.VII. — rozstrzelano za współpracę z Niemcami sołtysa wsi Żuków Antoniego Komaszewskiego oraz Mariana Oleszczuka.

13.VII. — koło Libiczyna przy współpracy z oddziałem radzieckim „Anatolego" zmuszono do ucieczki oddział niemiecki. Niemcy porzucili wozy.

14.VII. — wysadzono most na szosie Włodawa — Lublin.

16.VII. — po zreperowaniu tego mostu przez Niemców zniszczono go ponownie. 6 km od Włodawy w kierunku na Chełm zniszczono samochód — zabito 7 Niemców, 5 ciężko raniono. 120 m dalej zniszczono samochód jadący z Chełma z materiałem wojennym, zabito 2 Niemców.

18.VII — zniszczono most na szosie lubelskiej 21 km od Włodawy.

22.VII. — w wyniku zasadzki w Wyrykach zabito 45 Niemców i zdobyto broń. Od strony Horostyty zabito 33 Niemców, zdobyto broń, lekki samochód i motocykl. Od strony Antopola zniszczono 2 czołgi, zabito 8 i raniono 3 Niemców, zdobyto samochód ciężarowy, sprzęt wojskowy i sztandar pułkowy. W okolicy Hańska w porozumieniu z Armią Czerwoną schwytano i rozstrzelano 4 pilotów niemieckich z bronią. 10 Ukraińców przekazano do sztabu Armii Czerwonej.

23—27.VII. — rozstrzelano 13 Niemców, a 17 przekazano do sztabu Armii Czerwonej.

Działania IV Brygady

9.VII.1944 — rozbito natarcie 2 szwadronów kawalerii od strony Jagodna, zdobyto 4 wierzchowce. Rozbito uderzenie 70 Niemców od Załucza, zdobyto szyfry i rynsztunek. W Kaniowoli zatrzymano zwiad samochodowy.

10.VII. — zabito 25, raniono ok. 40 Niemców z oddziałów, usiłujących okrążyć Brygadę. Npl wycofał się w kierunku Chełma. Rozbito majątek niemiecki Stara Wieś, zabito 7 Niemców, zdobyto 20 koni i 14 krów, majątek spalono. Zmuszono Niemców do wycofania się z majątku Łęczna-Podzamcze, zabrano stamtąd 10 koni, 3 wozy, motocykl, 50 par butów, 30 tys. papierosów i liczny ekwipunek Grupa wypadowa dotarła do szosy lubelskiej przez Wieprz, zniszczyła 400 m linii telefonicznej i wysadziła most.

15.VII. — rozbito obławę 500 Niemców i członków ukraińskiego SS, strat npla nie udało się stwierdzić. Oddział AK „Kruka" zabił kaprala Wierzchowskiego, który jechał do nich z meldunkiem o sytuacji.

16.VII. — Pomiędzy Jaszczowem a Dominowem wysadzono pociąg, niszcząc parowóz i 13 wagonów z czołgami, samochodami pancernymi i artylerią, uszkodzono 5 wagonów.

19.VII. — 4 km od Jaszczowa wysadzono pociąg z Chełma do Lublina wiozący prowiant. Zniszczono parowóz i 6 wagonów, uszkodzono 4 wagony.

20.VII. — ostrzelano samochód jadący z Turobina do Wólki Ponikiewskiej, zabito 3 i raniono 5 Niemców.

21.VII. — na skraju lasu ponikiewskiego z 6 samochodów osobowych 2 zniszczono, 2 zabrano, 2 wycofały się, zabito 3 i wzięto do niewoli 5 Niemców, zdobyto 1 automat, 2 karabiny, 3 pistolety, amunicję i ekwipunek. W Tarnawie zniszczono 1 ckm, uszkodzono 1 samochód ciężarowy, zabito 3 i raniono 5 Niemców.

22.VII. — w lesie między Łańcuchowem a Milejowem rozbrojono 4 Niemców, zdobyto 1 automat, 2 karabiny, amunicję.

Do wsi Zdziłowice, gdzie były rozłożone własne oddziały, wjechali Niemcy na 35 samochodach ciężarowych i kilku osobowych. Zniszczono 2 samochody ciężarowe i kuchnię polową, poważnie uszkodzono 5 samochodów, pozostałe lżej. Niemcy stracili ponad 100 zabitych i rannych. W akcji brał także udział oddział AL „Cienia". Na szosie Jabłoń — Parczew zniszczono 2 samochody ze sprzętem, zabito 2 Niemców.

25.VII. — schwytano i rozstrzelano 2 własowców.

26.VII. — na drodze Zdziłowice — Godziszów ostrzelano 2 kolumny samochodów. Zniszczono 4 samochody, zabito i raniono ponad 20 Niemców, zdobyto 3 karabiny, apteczkę, pocztę polową i ekwipunek. Na szosie Janów — Modliborzyce wysadzono w powietrze samochód ciężarowy, zabito 11 Niemców — to na 2 godziny zatrzymało jadącą nieco później kolumnę 120 samochodów. W miejscu postoju w Anatolinie zarządzono ostre pogotowie, zaminowano wszystkie drogi, zakopano dokumenty i radio. Z samochodów, jadących od Andrzejowa, 1 roztrzaskał się na minie, inne wycofały się. Jeszcze nie zaminowaną drogą wdarły się do Anatolina 3 samochody. Wskutek ognia pancerny wycofał się — ciężarowy zniszczono, osobowy zabrano. Zdobyto broń, amunicję i ekwipunek. Z 2 samochodów pancernych jadących od Wierzchowisk 1 uszkodzono, 1 wycofał się. Zdobyto 2 LKM, 1 automat 3 pancerfausty, 11 granatów i in. W Wierzchowiskach zniszczono 1 samochód ciężarowy. Kolumna samochodów natarła od strony Piłatki. Pierwszy wyleciał w powietrze na minie, inne po ostrzeleniu ich wycofały się. Po godzinie od strony Piłatki rozwinęła się tyraliera. Powstrzymano ją, wkrótce nadeszły większe siły niemieckie — oddziały wycofały się w jary. Zabito 18 Niemców. W nocy oddziały przesunęły się w jary pod wieś Andrzejów pomiędzy pozycjami wojsk radzieckich i niemieckich.

27.VII. — nawiązano łączność z wojskami radzieckimi, oddziały rozlokowały się na odpoczynek w Andrzejowie.

29.VII. — rozstrzelano 2 szpiegów.

30.VII. — rozstrzelano 2 Niemców.

Zgrupowanie Partyzanckie Jeszcze

(Ciąg dalszy ze str. 1)

domości publicznej dotarło niewiele faktów, o którym krążą i legendy i niepełne, ułamkowe wiadomości. Z dyrektorem Satanowskim, w latach 1951—1954 dyrygentem Filharmonii Lubelskiej, rozmawiałem kilkanaście godzin. Sądzę, że ta pierwsza obszerna jego wypowiedź przyczyni się do wyjaśnienia wielu spraw oraz skłoni zarówno pana Satanowskiego jak i historyków do bardziej szczegółowego opracowania dziejów Zgrupowania, które w historii polskiej partyzantki odegrało szczególną rolę.

Patrzę w młodą, niepokojąco młodą twarz człowieka, który teraz staje za pulpitami dyrygenckimi w wielu krajach Europy, a który — zanim został pułkownikiem — zdążył być studentem Politechniki Warszawskiej, nauczycielem matematyki, fizyki, łaciny i gimnastyki, kierownikiem szpitala i faktycznie leczącym, kierownikiem gminnej spółdzielni, a później, już po wojnie, dowódcą Pułku Piechoty, Dywizji Piechoty i komendantem Oficerskiej Szkoły Marynarki Wojennej w Gdyni. Jak to wszystko było możliwe? Jaką trzeba mieć naturę, aby wreszcie dobrnąć do celu, którym była muzyka?

— Jako uczeń gimnazjum w rodzinnej Łodzi interesowałem się matematyką i astronomią, potem literaturą i plastyką. Do muzyki miałem wtedy tylko sentyment. Matka śpiewała bardzo ładnie po amatorsku i do dzisiaj pamiętam wiele jej pieśni. I ojciec był bardzo wrażliwy na muzykę. W gimnazjum miałem dwóch kolegów doskonałych pianistów. Pomagałem im w nauce, oni grali dla mojej przyjemności. Z tych czasów głęboko utkwiły mi w pamięci „Marsz żałobny" Chopina, wariacje Beethovena „Żal z powodu zgubionego grosza" i „Cordoba" Albeniza. Był to po prostu naiwny wyraz umiłowania muzyki, zaledwie przeczucie późniejszych zainteresowań. Proszę pomyśleć, co czułem, gdy w styczniu br. po koncercie w Hannowerze jakiś Polak z tamtejszej Polonii zaczął ze mną rozmowę i pytał, czy miałem krewnego o tym nazwisku, z którym on chodził do gimnazjum w Łodzi. Był to jeden z moich kolegów — pianistów.

— Chciał pan być inżynierem mechanikiem? A jak właściwie doszło do formowania Zgrupowania?

— Wojna przerwała studia techniczne. We wrześniu przyłączyłem się jako ochotnik do jednego z oddziałów polskich, ostatecznie znalazłem się we Lwowie. Rodzinne naciski znikły i postanowiłem poświęcić się muzyce. Po rozmowie z prof. Zbigniewem Drzewieckim i prof. Tadeuszem Kassernem miałem zostać studentem lwowskiego konserwatorium. Ale niespokojne losy poprowadziły mnie szybko gdzie indziej i objąłem posadę dyrektora szkoły we wsi Bogdanki w Białostockiem. Latem 1940 r. przeniosłem się do wsi Wieluń na Polesiu. Kierowniczką szkoły była tam urodzona pod Radomiem Zofia Dróżdż, siostra mojego przyjaciela, Bolka. Gdy hitlerowcy napadli na ZSRR zdecydowaliśmy się zostać na miejscu. Początkowo uczyłem w gimnazjum ukraińskim w Wysocku. W grudniu 1941 r. zostałem na krótko kierownikiem gminnej spółdzielni w Wieluniu. Raczej formalnie, bo faktycznie funkcje te pełnił Janek Szafarczyk — późniejszy dowódca oddziału im. Jana Kilińskiego, a wreszcie, miał przecież swoistą praktykę, kwatermistrz Zgrupowania. Byłem kolejno sanitariuszem — dezynfektorem w Lutyńsku po drugiej stronie Horynia, a latem 1940 r. udało mi się uzyskać stanowisko kierownika punktu medycznego we wsi Jeziory w sercu puszczy poleskiej. Prowadziłem tam także przez pewien czas szpital zakaźny. Ludność, oczywiście, nazywała mnie panem doktorem.

— W rezultacie chyba trzeba było leczyć? Jak pan to robił?

— Określałem swoje zabiegi jako metodę logicznych wyłączeń. No i starałem się stosować takie lekarstwa, które nie mogły zaszkodzić. Pacjentów było wielu z coraz dalszych stron. Często otrzymywałem bardzo cenne naówczas honorarium: pud zboża. Rzecz polegała głównie na walce z chorobami zakaźnymi, których Niemcy bali się panicznie. Wkrótce to wykorzystałem. Hitlerowcy dawno już zarzucili początkową propagandę o tworzeniu „samodzierżawnej Ukrainy" i coraz więcej ludzi — Polaków, Białorusinów, Ukraińców — wywozili do Rzeszy. Gdy okolicznym wsiom zagrażała łapanka zerwałem linię telefoniczną i wysłałem do landwirta w Wysocku meldunek o napadzie. A potem wozem ciągnionym przez woły pojechałem do niego i zdołałem go przekonać, że „dla dobra Rzeszy" trzeba przerwać wywożenie ludzi, gdyż teren objęty jest groźną epidemią czerwonki i tyfusu brzusznego. Landwirt objął kwarantanną wskazany teren, a w nagrodę za dbałość „o dobro Rzeszy" uzyskałem bezcenne wtedy dwa pudy soli.

— Kiedy zaczęła się właściwa akcja organizacyjna?

— Jesienią 1941 r. Najpierw było nas troje: Zofia Dróżdż, Kirył Kucharec i ja. Wkrótce jako czwarty dołączył Grzegorz Nesterczuk. I on i Kucharec byli przed wojną członkami Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy. Z pierwszych zebrań sporządzałem protokóły na bibułce papierosowej. Zresztą cała późniejsza działalność organizacyjna i partyzancka została utrwalona w dokumentach, z których wiele w różnych miejscach przetrwało do dzisiaj.

— Chyba czas już zabrać się do ich zebrania i opracowania. Ale na razie słucham dalej.

— Osoby, które wymieniłem, stały się trzonem tego, co najpierw stanowiło zawiązek ruchu oporu, a potem partyzancki. Teren naszego działania obejmował tzw. rejony, których ośrodkami były Wysock, Dąbrowica, Stolin, Klesów, Rokitno.

ROBERT SATANOWSKI
Rok 1966

Później nasze wpływy rozciągnęły się także na zachód. Okres pobytu w Jeziorach sprzyjał pracom organizacyjnym. Z tytułu swoich funkcji mogłem swobodnie poruszać się, każda droga prowadziła do jakiegoś futoru, w którym mógł mnie oczekiwać chory. Opieraliśmy się zarówno na ludności polskiej jak i ukraińskiej. To prawda, że czasem dawały znać o sobie dawne antagonizmy narodowościowe, ale większość łączyła wspólna wrogość do Niemców. Istniał także problem propagandy londyńskiej, która kazała czekać z bronią u nogi. Lecz chętnych nam nie brakowało. Wkrótce nasza siatka organizacyjna obejmowała już prawie wszystkie miejscowości i osiedla wymienionych rejonów. Wiedzieliśmy o wszystkim, co się wokół działo, co noc docierali do mnie łącznicy z meldunkami. Mieliśmy na pewno i wiele szczęścia, że nie doszło do prowokacji. Choć na przykład w lutym 1942 r. na zebraniu w Zadębiu obecnych było 120 członków organizacji.

— Powstało więc coś w rodzaju nielegalnej organizacji, wprawdzie mieszanej, ale z poważnym udziałem Polaków. Naturalnym dążeniem musiało być tworzenie partyzantki?

— Oczywiście. W listopadzie 1942 roku w okolicy pojawiają się pierwsze oddziały partyzantki radzieckiej. Najpierw grupa wywiadowcza Bati-Linkowa, później oddziały gen. Kowpaka. Nawiązaliśmy z nimi ścisłą łączność i współpracę. Otrzymałem podpisane przez zastępcę gen. Kowpaka, wówczas ppłk Werszyhorę, „nominację" na dowódcę wszystkich miejscowych oddziałów partyzanckich. W czasie sławnej operacji „Krzyż sarneński", której celem było unieruchomienie węzła kolejowego w Sarnach, oddziały gen. Kowpaka w dużej części oparły się na dostarczonych przez nas danych wywiadowczych. Wkrótce Niemcy rozpoczęli wielką akcję pacyfikacyjną. Nasz dom w Jeziorach został zniszczony, a Zofia Dróżdż i ja w ostatniej chwili zdołaliśmy ujść. Zofia Dróżdż pozostała na Futorach Zielonych. Ja przyłączyłem się do grupy wywiadowczej dowodzonej przez Makarenkę i razem udaliśmy się na wschód do sztabu Zgrupowania gen. Kowpaka. Cały miesiąc spędziłem w oddziale zwiadowczym dowodzonym przez kpt. Bereżnego, biorąc udział we wszystkich akcjach od Buchczy do jeziora Lach. Uczyłem się tam w szybkim tempie partyzanckiego abecadła. Z Werszyhorą połączyła mnie szczerzna przyjaźń, która z niesłabnącą siłą przetrwała do jego niespodziewanej śmierci przed trzema laty. Wędrowaliśmy nocami prowadząc dyskusje o literaturze i muzyce, spaliśmy na jednej macie.

W połowie stycznia 1943 r. razem z grupą wywiadowczą pod dowództwem Wańki Archipowa ruszyłem w drogę powrotną na południowy zachód w stronę Jezior. Po drodze zawadziliśmy o miejsce postoju gen. Saburowa. Spotkanie to wywarło na mnie istotny wpływ. Po powrocie zorganizowałem tzw. oddział miejscowy, złożony głównie z Poleszuków, ale także i Polaków. Wkrótce liczył on 30 ludzi. Po przekazaniu tego oddziału pod dowództwo Hodunki zorganizowałem pierwszy oddział polski im. Tadeusza Kościuszki. Nawiązany z Saburowem kontakt przerodził się w więź organizacyjną. Nasze osobiste stosunki, przełamując wiele trudności i oporów, przekształciły się w prawdziwą przyjaźń, która trwa do dzisiaj. Zetknięcie się z obu zgrupowaniami, Kowpaka i Saburowa stało się wielką szkołą partyzantki. Szczególnie surowa mądrość Saburowa była dla mnie często wskazówką w postępowaniu.

— A jak przebiegała sama działalność bojowa?

— W związku z akcją hitlerowców Saburow przesunął się na wschód w rejon Lelczyc, my pozostaliśmy w okolicach Jezior, stale utrzymując łączność.

Osiedla i drogi były wtedy silnie obstawione przez Niemców, w lesie zaś coraz energiczniej działali nacjonaliści ukraińscy. Musieliśmy być w ciągłym ruchu, prawie bez snu, nieraz przez wiele dni nie zdejmowaliśmy obuwia. W kwietniu przeprowadziliśmy pierwszą dzienną akcję dywersyjną, wysadzając pociąg na odcinku Sarny — Rokitno. Kolej była pilnie strzeżona i do tego czasu działano tylko pod osłoną nocy. Bardzo przyjemnym śladem tej akcji była wiadomość, zamieszczona w partyzanckiej gazetce Saburowa, że „polski oddział partyzancki dowodzony przez Roberta S. wysadził..." W kwietniu w rejon Jezior przyszło kilka oddziałów Saburowa pod wspólnym dowództwem płk Bohatyra. Przeprowadziliśmy kilka wspólnych akcji, po czym razem ruszyliśmy w stronę Dubnicka. W tym czasie Zofia Dróżdż zachorowała na tyfus plamisty. Razem z nami była jej córka 6-letnia Lili (Danuta).

Rozmowy z Saburowem od dawna zmierzały do uzyskania odpowiedniej ilości broni, aby zorganizować wielką partyzantkę polską na terenie Polesia i Wołynia. Nie otrzymałem jej wtedy, natomiast Saburow nawiązał w tej sprawie łączność z Moskwą. 7 maja razem z Zofią Dróżdż i Danutą wyleciałem samolotem z partyzanckiego lotniska do Moskwy, gdzie znajdowało się dowództwo Ukraińskiego Sztabu Partyzanckiego. Dowodzenie pozostającym oddziałem powierzyłem swemu zastępcy Wincentemu Roszkowskiemu.

— Chyba nie tylko dla mnie, panie dyrektorze, jest zaskakujące takie zestawienie: student który nigdy nie był w wojsku — pułkownik partyzantki — znany nie tylko w Polsce muzyk. Czyżby wrodzone skłonności do wojaczki? No i gdzie tu szukać źródeł dyscypliny, koniecznej w działaniach partyzanckich?

— Byłem zdecydowanym przeciwnikiem wojny, antymilitarystą. Zawsze buntowałem się przeciwko przemocy, przeciw dyscyplinie narzuconej siłą. Lecz sam dla siebie stworzyłem cały system ostrego, konsekwentnego porządku. Miałem czas podzielony ściśle co do minuty, sypiałem dwa razy na dobę po 3 godziny w najmniej odpowiednich do tego porach — ale to była moja własna dyscyplina. Dyscyplinę z zewnątrz uważałem za zamach na moją osobistą wolność, dyscyplinę wewnętrzną za potwierdzenie tej wolności. Miałem swoje zasady i byłem fanatykiem tego, co można najprościej nazwać obowiązkiem. To, co robiłem w czasie wojny, uważałem i uważam za rzecz najbardziej naturalną, za prosty obowiązek Polaka.

— Ale partyzantka wymaga specyficznej postawy, specyficznych wiadomości...

— Te partyzanckie wiadomości zdobywałem sam. Najtrudniejszą rzeczą była początkowo sprawa po-

Polska nie zginęła

dejmowania decyzji, którą rozumiałem jako dokonanie wyboru spośród wyłaniających się możliwości. Miałem chyba nadmierną skłonność do analizy, próbowałem rozpatrywać wszelkie możliwe warianty. Natłok koncepcji był nieraz aż bolesny, a nawyk logicznej precyzji stanowił na początku przeszkodę. Jednym z przełomowych momentów było to, co widziałem w czasie bitwy o Buchczę. Na drodze prowadzącej do Buchczy utworzył się zator. Dziesiątki furmanek i sań stłoczyło się w zgiełkliwym chaosie. Bagnisty teren uniemożliwiał objazd, dojście do linii ognia zostało nagle zamknięte. Posiłki zmierzające ku linii walki utykały w tym nabrzmiewającym coraz bardziej zgiełku. Ujrzałem zbliżającego się na czele grupy fizylierów gen. Kowpaka. Klnąc rozdzielał z całej siły baty długą nahajką. Byłem wstrząśnięty. Ale w ciągu trzech minut zator został zlikwidowany, oddziały ruszyły naprzód, Buchczę zdobyto, zgrupowanie wyszło z groźnego kotła.

W oddziałach partyzantki radzieckiej obserwowałem zawsze atmosferę niezwykłej koleżeńskości niezależnie od stopnia i funkcji. Pamiętam, jak kiedyś do ppłk Werszyhory podszedł młody kapral, zaśpiewał żartobliwą piosenkę o jego brodzie, potem wzięli się za bary i mocowali ku pogodnej uciesze innych partyzantów. Ale gdy przychodziło do akcji, gdy padał rozkaz — subordynacja była absolutna. Mój światopogląd dowódczy kształtował się zaś pod wpływem Saburowa — rozmów z nim, obserwacji tego jak postępował. Uczyłem się podejmowania szybkiej decyzji i umiejętności jej egzekwowania.

— *Jakie sprawy załatwiał pan wówczas, w maju 1943 r., w Moskwie?*

— Chodziło o ustalenie koncepcji organizacyjnej formujących się oddziałów Zgrupowania, otrzymanie broni, środków łączności itp. Rozmawiałem z dowódcą Ukraińskiego Sztabu Partyzanckiego — Chruszczowem, dwukrotnie z Dymitrowem oraz wielu innymi poważnymi osobistościami. Odbyło się również spotkanie z kierownictwem Związku Patriotów Polskich oraz dowództwem formującej się właśnie dywizji im. Tadeusza Kościuszki — gen. Berlingiem, B. Drobnerem, St. Jędrychowskim, E. Ochabem, W. Wasilewską i innymi. St. Jędrychowski miał dołączyć do naszej partyzantki, ale później złożyło się inaczej. Uzyskałem zgodę na to, aby powstające Zgrupowanie przyjęło nazwę „Jeszcze Polska nie zginęła". Zgodnie z naszą prośbą otrzymaliśmy 30 tys. kartek na ulotki z poddrukiem białego orła z koroną na czerwonym tle. Ulotki mieliśmy kolportować w rejonie działań wojennych. Zofia Dróżdż zabrała się energicznie do przygotowywania gazetki, którą później drukowaliśmy w Zgrupowaniu na polowej drukarence, zresztą z rumuńskimi czcionkami. Zgrupowanie miało działać samodzielnie przy zachowaniu łączności taktycznej z Ukraińskim Sztabem Partyzanckim. Był już czerwiec i krótkie noce nie pozwalały na powrót i lądowanie samolotu. W rezultacie wylądowaliśmy w Lelczycach dopiero 5 września. Przez cały czas utrzymywałem pośrednią łączność radiową z oddziałem im. Tadeusza Kościuszki. Niestety, nie na wszystkie sprawy związane z losami oddziału miałem wpływ. Oddział zjawił się na lotnisku, liczył już ponad 200 ludzi. Poprzednio tylko część miała broń, teraz otrzymali ją wszyscy.

— *Zaczęło się więc właściwe tworzenie samego Zgrupowania?*

— Tak. W jego skład weszły początkowo 3 oddziały: im. Tadeusza Kościuszki (d-ca Jan Szafarczyk), im. Romualda Traugutta (d-ca Konwerski) oraz im. Emilii Plater (d-ca Rudka), ponadto oddział zwiadowczy, pluton gospodarczy itd. Szefem sztabu został Wincenty Roszkowski. Naszym celem było przejście na zachód za Bug. Ruszyliśmy pod koniec września, spotykając po drodze Pińską Brygadę Partyzancką, dowodzoną przez dzielnego i szlachetnego Gruzina Iwana Szubitidze, który pomógł nam w urządzeniu szpitala dla rannych i chorych na tyfus. W rejonie Pińska spotkaliśmy się także z grupą zrzutową Kasmana-Janowskiego i oddziałem Klima. W tym czasie przyłączył się do nas węgierski oddział partyzancki. Kilkunastoosobową grupą dowodził Racz Gyula. Grupa ta odegrała później decydującą rolę w organizowaniu partyzantki na Węgrzech.

Posuwaliśmy się zygzakiem, prowadząc intensywną akcję bojową, dywersyjną i wywiadowczą, osłaniając zarazem polską ludność przed napadami nacjonalistycznych band ukraińskich banderowców i bulbowców. Działaliśmy właśnie w rejonie Górawicy i Mąkoszyna, gdy dostałem wiadomość, że drogą lądową przez linię frontu możemy otrzymać większą ilość broni. Część grupy operacyjnej poszła dalej na zachód, aby rozeznać możliwości przejścia Bugu, równocześnie posłałem po broń do Sarn. W tym czasie 95 pułk piechoty radzieckiej przedarł się na tyły niemieckie. Wybuchły ostre walki, w których braliśmy wspólnie czynny udział. W rezultacie ruchu wojsk znaleźliśmy się nagle na wschód od linii frontu. Skontaktowałem się wtedy z gen. Strokaczem, szefem sztabu USP, który zalecił nam być w pełnej gotowości, by po znalezieniu jakiejś luki w linii frontu ponownie go przekroczyć. Zlikwidowałem tabory i posuwaliśmy się wzdłuż frontu pomiędzy liniami radzieckimi i niemieckimi. Gen. Strokacz zawiadomił nas wreszcie, że utworzyła się luka na północ od Włodzimierza Wołyńskiego, więc ruszyliśmy tam, jednocześnie rekrutując nowych partyzantów. Na obszarze tym działała 27 Dywizja AK — kilka miejscowych oddziałów przyłączyło się do nas. Wysłany jako awangarda oddział por. Szafarczyka przeszedł rzekę Turię jeszcze przed obsadzeniem jej przez Niemców, siły główne już nie zdążyły. Oddział przedni im. J. Kilińskiego znalazł się w kotle, na który uderzyły trzy niemieckie dywizje i w ciężkich walkach poniósł duże straty. Rozformował się on na drobne grupy, z których większość wróciła na wschód przez linię frontu, por. Szafarczyk z kilku ludźmi zdołał przeprawić się przez Bug na wysokości Włodawy dopiero w czerwcu, łącząc się z działającym już tam wtedy Zgrupowaniem.

> **Zgrupowanie wydawało własną gazetkę pod tytułem „Jeszcze Polska nie zginęła", którą redagowała Zofia Dróżdż. Pod koniec stycznia 1944 r. w jednym z numerów ukazał się następujący wiersz (autor nieznany):**
>
> *Krwią skatowanych braci ocieka*
> *Swastyka czarna.*
> *Pod nią deptana godność człowieka,*
> *Ludu męczarnia.*
> *Dźwignij się z prochu okaleczona*
> *Ziemo Ojczysta!*
> *W uścisk żelazny zewrzyj ramiona,*
> *Zginie faszysta.*
> *Wicher powieje, krzyżackim ścierwem*
> *Drogi wymości,*
> *Braciom w niewoli kajdany zerwie*
> *Wicher wolności!*

Po rozmowach w Kijowie z USP mjr Roszkowski i kpt. Podgórny 1 maja polecieli za Bug do działających tam oddziałów im. Stefana Czarnieckiego i Zawiszy Czarnego wyposażeni w radiostację. W tym czasie przy dowództwie I Armii Wojska Polskiego powstawał Sztab Polskich Partyzantów. Zgłosiłem się do szefa sztabu, gen. Aleksandra Zawadzkiego. Miałem sformować grupę desantową i polecieć z nią za Bug do swoich oddziałów. Jednym z zadań było nawiązanie kontaktu z oddziałami AL.

— *Do tego chyba trzeba się było jakoś przygotować?*

— Do desantu tak. Szkolenie było krótkie, czas naglił. 2 czerwca wyleciały spod Równego trzy samoloty: w dwóch 33 ludzi, najdzielniejsi partyzanci Zgrupowania i wybrani oficerowie i podoficerowie z batalionu szturmowego Sztabu Polskich Partyzantów, w trzecim broń, amunicja i sprzęt. Moim zastępcą mianowano kpt. Józefa Kratko. Jak bardzo ludzie chcieli walczyć z hitlerowcami niech świadczy przykład partyzanta Hanuszkiewicza. Tuż przed wyskoczeniem rozwinął mu się spadochron i dowódca samolotu, oficer radziecki, zabronił mu skoku. Hanuszkiewicz wyrwał się powstrzymującej go obsłudze samolotu i z okrzykiem „ja nie będę wracał z powrotem" wyskoczył. Zresztą szczęśliwie jak wszyscy inni. Było to w rejonie Łowiszowa na Podlasiu. Na miejscu czekali już mjr Roszkowski i kpt. Podgórny wraz z oddziałami. Tej samej nocy opracowaliśmy nowy plan działania i rankiem oddziały dywersyjne zaczęły minować tory, wysadzać transporty kolejowe. Z naszymi jednostkami już wcześniej nawiązał współdziałanie oddział BCh im. Ziemi Podlaskiej. Teraz podporządkowały się nam dwie grupy AK, jedna z Wołoskowoli. Sprawa ta była przedmiotem sporu pomiędzy nami a dowództwem obwodu AK, które domagało się zwrotu „dezerterów". Trwałem na stanowisku dobrowolności w partyzantce. A ludzie chcieli pozostać u nas.

— *Chyba dochodzimy do momentu bliższej współpracy z BCh. Na ten temat słyszałem kilka wersji...*

— Do Izabelina, gdzie w tym czasie stacjonowaliśmy, przybyli przedstawiciele BCh, m. in. Marian Tupalski i Edward Duda, dzisiejszy przewodniczący Prezydium WRN w Rzeszowie. Wiadomo, że na szczeblu centralnym postanowiono podporządkowanie czy bardzo ścisłą współpracę oddziałów BCh i AK. Ale w terenie było bardzo różnie. Na Podlasiu BCh po prostu nie chciało tego wykonać. W trakcie naszych rozmów z przedstawicielami BCh przyjechali przedstawiciele obwodu AK oraz kpt. „Ostoja" ze sztabu 27 Dywizji AK, ale mimo dramatycznego przebiegu rozmów nic nie zyskali. O północy przedstawiciele AK odjechali. Przedstawiciele BCh zostali. To oznaczało zwycięstwo i od tej chwili miejscowe oddziały BCh znalazły się w całości pod naszym taktycznym dowództwem. Działo się to 15 czerwca. Nad ranem Niemcy rozpoczęli obławę. Sąsiednie oddziały AK wycofały się nie uprzedzając nas o zbliżającym się niebezpieczeństwie i odsłaniając nasze lewe skrzydło. Po całodziennej walce przeszliśmy w rejon Horostyty, potem dalej na południe. Więź z BCh pogłębiała się coraz bardziej. Wziąłem udział w uroczystym zakończeniu kursu szkoły podchorążych BCh, przemówiłem i prymusowi wręczyłem automat, a potem z kilku działaczami ludowymi omawialiśmy sprawy współdziałania wojskowego jak również ich współpracy z KRN.

W wyniku dużego napływu członków BCh do naszego zgrupowania utworzony został oddział im. Ziemi Lubelskiej, w którym stanowili oni większość. Dowódcą został por. Franciszek Woś. Zgłosił się również oddział AK „Chłopickiego", który później działał w ramach naszej III Brygady.

— *Właśnie. Dochodzimy do momentu podziału Zgrupowania na dwie brygady.*

— To były pierwsze dni lipca. Wobec przesuwania się frontu mieliśmy iść za Wisłę na teren Kielecczyzny, a następnie w Karpaty. Marsz całym dużym już Zgrupowaniem wydawał mi się zbyt ryzykowny, ponadto uważałem, że szkoda porzucać nasz wielki dorobek polityczny, jaki osiągnęliśmy na Podlasiu. Chodziło głównie o BCh. Tak więc pozostała tam III Brygada pod dowództwem mjr Roszkowskiego, złożona ze sformowanych w czerwcu oddziałów im. im. księdza Stanisława Brzóski, księcia Józefa Poniatowskiego i Ziemi Lubelskiej. Oddziały im. im. Orła Białego, Zawiszy Czarnego, Stefana Czarnieckiego, a później Stefana Batorego i inne utworzyły IV Brygadę, która pod moim dowództwem pomaszerowała na południową Lubelszczyznę.

— *Ale całość pozostawała dalej pod pańskim dowództwem?*

— Tak jest. Utrzymywałem z III Brygadą łączność radiową, a do chwili przejścia poza linię kolejową Lublin — Kowel łączność bezpośrednią. IV Brygada przeszła najpierw koło lasów parczewskich, gdzie zetknęliśmy się z dużym oddziałem partyzanckim Armii Ludowej. Na południowej Lubelszczyźnie spotkałem się z szefem sztabu lubelskiego AL „Grabem" (gen. Jan Wyderkowski), w Zdziłowicach z oddziałem AL „Cienia", a następnie z przedstawicielem lubelskiej WRN Pawłem Dąbkiem. Spotkania te były bardzo serdeczne. Do naszej Brygady przyłączyła się placówka AK z Wólki Batorskiej dowodzona przez „Jastrzębia", potem w Woli Gałęzowskiej oddział AK „Szarugi". Nasz szlak partyzancki zakończył się w Anatolinie.

Krótki okres działalności IV Brygady był szczególnie intensywny. Przez cały czas stosowaliśmy zasadę rozczłonkowania i manewrów. Grupy dywersyjne działały stale i niezależnie od sytuacji sił głównych Brygady. Żadnej z akcji hitlerowskich nie udało się związać wszystkich naszych sił. 27 lipca po przejściu linii frontu wyruszyłem z IV Brygadą z powrotem na północ, by połączyć obie brygady w jedną całość jako zawiązek 8 Dywizji Piechoty II Armii Wojska Polskiego, której dowództwo z miejscem postoju w Siedlcach objąłem zgodnie z rozkazem Naczelnego Wodza.

— *Dziękuję panu, panie dyrektorze, że zechciał pan tyle godzin poświęcić na rozmowę, która jednak tylko dość pobieżnie mogła pokazać narodziny i działalność Zgrupowania „Jeszcze Polska nie zginęła". Myślę, że ta działalność zasługuje na to, aby została opracowana całościowo w formie jakiejś monografii i aby weszła na właściwe miejsce w dziejach polskiego ruchu oporu.*

— Z przyjemnością rozmawiałem z panem na te tematy, choć czuję się zażenowany fragmentarycznością i niepełnością moich wypowiedzi, lecz przede wszystkim żałuję, że nie mogłem więcej powiedzieć o tak wielu dzielnych i bohaterskich partyzantach Zgrupowania. Niechże mi wolno więc będzie wymienić chociaż tylko garść nazwisk: Aleksandrowicz, Brandenlurg, Dęga, Drosik, Gajdemski, Garbowski, Grodzki, Klog, Kot, Łabędzki, Magdziak, Mikołajczak, Orzeł, Osłoński, Sakwiński, Sielicki, Siwek, Siwy, Skokowski, Skuteli, Stański, Włóczęga...

Rozmowę przeprowadził:
Jerzy Dostatni

RODACY!

Czerwona Armia zbliża się do Bugu. Razem z nią idzie Pierwszy Polski Korpus Sił Zbrojnych. Niesie z sobą wolność. Niesie śmierć okupantom i ich sługom, zdrajcom sprawy polskiej... Wybierajcie: walka i sława czy oczekiwanie i pogarda narodu. Droga uczciwego Polaka jest jedna: Chwytajcie za broń! Dzień wyzwolenia świta! Niech żyje Polska!

Z odezwy, wydanej w styczniu 1944 r. do ludności cywilnej.

Rozkaz dzienny z dnia 23.I.1944 r.

Żołnierze!

22 stycznia minęła 81 rocznica Powstania Styczniowego, jednego z najchwalebniejszych etapów walki o wyzwolenie. Idziemy śladem powstańców i, wymownym zbiegiem okoliczności, obóz naszego oddziału partyzanckiego im. Traugutta biwakował w tym samym miejscu, gdzie 80 lat temu biwakował obóz Naczelnika Powstania — Romualda Traugutta.

Dziś stoimy u wrót nowego dnia Niepodległości. Dziś my sami, żołnierze wolności, polscy partyzanci, wykuwamy go własną ofiarą krwi i życia...

Bądźmy dojrzali do roli, która nam przypadła i bądźmy godni tych nadziei, które w nas pokładają.

Niech imię partyzanta polskiego będzie symbolem prawości, odwagi, męstwa i miłości do ojczyzny...

Przed nami Zwycięstwo i Wolność!...

Niech żyje Polska Niepodległa, Silna i Sprawiedliwa!

Zdjęcia z archiwum Zakładu Historii Partii przy KW PZPR w Lublinie, odnalezione we wsi Rusity, pow. Włodawa.

STANISŁAW KRZYKAŁA

LUBLIN W TYSIĄCLECIU (V)

LATA KAPITALIZMU

UKAZ carski uwłaszczający chłopów stwarzał warunki dla szybszego rozwoju kapitalizmu w Królestwie Polskim. Również Lublin po 1864 roku wchodzi na drogę kapitalistycznego rozwoju. Inicjatywę ożywienia ruchu fabrycznego podjął Michał Kośmiński, który wystawił młyn parowy na Kośminku i piekarnię parową w Lublinie. Do przemian gospodarczych w mieście przyczynili się też obcy pod względem narodowościowym kapitaliści, przekształcając dawne manufaktury w fabryki. Do tej kategorii przedsiębiorstw należały: browary Vetterów i Jenszów, młyn wodno-parowy braci Krausse, fabryka wag Hessa, fabryka narzędzi rolniczych W. Moritza. Częściowo szlachta lokuje pieniądze uzyskane ze sprzedaży ziemi w przedsiębiorstwa przemysłowe i handlowe. Powstaje fabryka narzędzi rolniczych M. Wolskiego, garbarnia braci Domańskich. Po połączeniu Lublina linią kolejową z Warszawą i Kowlem ożywił się ruch przemysłowy w mieście. Odtąd wyraźniej kształtuje się burżuazja miejska i wyzyskiwany przez nią proletariat. Wzrasta liczba mieszkańców z około 20 tysięcy osób w 1870 r. do 50 tysięcy na początku XX w.

Przemysł metalowy w Lublinie odnosił sukcesy konkurując skutecznie z fabrykami z Warszawy i Sosnowca. Urządzenia gorzelni, kotłów parowych rozchodziły się na całe Królestwo. Wagi z fabryki Hessa wysyłane były do Rosji centralnej i na daleką Syberię. Natomiast przemysł przetwórczy czynił z Lublina centrum regionu rolniczego. Wielka wystawa rolniczo-przemysłowa zorganizowana w Lublinie w 1901 r. ukazywała dorobek i kierunki rozwoju życia gospodarczego miasta, które dawało 1/3 całej produkcji guberni lubelskiej.

I wojna światowa zdezorganizowała życie gospodarcze miasta. Wskutek zniszczeń wojennych ucierpiał szczególnie przemysł metalowy, którego produkcja uległa zahamowaniu w porównaniu z okresem przedwojennym. Stan ten pogłębił bardziej kryzys gospodarczy w 1929 roku. Toteż Lublin stał się ośrodkiem rolno-przetwórczym i siedzibą wielu władz administracyjnych. Nową gałąź przemysłu stanowiła fabryka samolotów Plagego-Laśkiewicza. Uzyskana pożyczka od towarzystwa „Ulen" przyczyniła się do rozbudowy urządzeń komunalnych. Firma amerykańska wybudowała nowoczesne wodociągi, rzeźnię miejską, a za zyski z tych inwestycji — elektrownię. Miasto zadłużyło się na 60 lat. W dziedzinie przemysłu młynarskiego rząd przyznał kredyty na budowę elewatora zbożowego. Mimo ogólnego zahamowania rozwoju życia gospodarczego, na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu niektóre firmy lubelskie otrzymały odznaczenia za interesujące eksponaty.

Od 1936 r. zaznaczyło się w naszym kraju ożywienie gospodarcze, wzrosła działalność inwestycyjna. Plany związane z Centralnym Okręgiem Przemysłowym, który objął także 11 powiatów województwa lubelskiego, wzmogły zainteresowanie kapitału prywatnego. Prawie trzykrotnie wzrosła produkcja lubelskich fabryk maszyn rolniczych w 1937 r. Zwiększyły produkcję i eksport fabryki wag. Dzięki rzeźni miejskiej zwiększył się ubój i wywóz bekonów. Otwarcie giełdy zbożowej i towarowej w Lublinie oznaczało próbę usprawnienia handlu płodami rolnymi przez regulację cen, zakupy czynione bezpośrednio u producentów i rozwijanie eksportu.

Wraz z rozwojem przemysłu robotnicy stawali się coraz bardziej liczebną i wyzyskiwaną klasą. Na początku XX w. liczba ich wynosiła około 2800 osób, a w r. 1905 około 4000. Do roku 1893 nie notowano ani jednego wypadku buntu robotników, jakkolwiek składali oni skargi na nieprawidłowe rozliczenia z nimi ze strony fabrykantów. Z akt żandarmerii dowiadujemy się, że w Lublinie mieścił się punkt kontaktowy dla agitatorów partii „Proletariat". Po utworzeniu partii robotniczych — PPS i SDKPiL — organizacje te rozwijały się w Lublinie powoli. Jednak przed wybuchem rewolucji 1905 r. działał już Lubelski Komitet Robotniczy PPS i Lubelska Okręgowa Organizacja SDKPiL, które kierowały demonstracjami i strajkami w mieście i jego okolicach. Agitację w duchu nacjonalistycznym prowadził Komitet Narodowej Demokracji. Do zwalczania ruchu rewolucyjnego powołał on Narodowy Związek Robotniczy, który stanowił endecką bojówkę. Lublin odgrywał poważną rolę jako ośrodek współpracy rewolucjonistów polskich i rosyjskich. Z Częstochowy przez Lublin do Kijowa prowadził jeden ze szlaków kolportażu leninowskiej „Iskry". Na polecenie Lenina, przebywającego w Galicji w 1912 r., Mikołaj Krylenko zorganizował w Lublinie miejsca odbioru korespondencji i literatury partyjnej oraz punkty noclegowe dla przejeżdżających socjaldemokratów rosyjskich.

Wojna zdezorganizowała życie gospodarcze i pogorszyła warunki życiowe mas pracujących. Natomiast klasy posiadające, popierające zaborców, tworzyły instytucje gospodarcze i polityczne zabezpieczające ich interesy. Taką rolę spełniały po wejściu Austriaków do Lublina Krajowa Rada Gospodarcza, Wydział Narodowy Lubelski oraz Liga Państwowości Polskiej. Duży wpływ na kształtowanie się opinii politycznej wywierali przebywający w tym czasie w Lublinie politycy galicyjscy: Daszyński i Moraczewski. Oni to wraz z Rydzem Śmigłym z chwilą załamania się okupacji utworzyli — przeciw reakcyjnej Radzie Regencyjnej — tzw. Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej w Lublinie, poparty przez ugrupowania piłsudczykowsko-niepodległościowe. Zaczątkiem władzy rewolucyjnej mas pracujących stała się Rada Delegatów Robotniczych miasta Lublina. Tę dążność wyrażał Rewolucyjny Komitet Lubelski, który w 1920 r. powołał Wojewódzką Radę Delegatów Robotniczych. Jako organ dyktatury proletariatu miała ona zapoczątkować nowy ustrój. Wskutek prowokacji i innego biegu wydarzeń wojennych członkowie Komitetu Rewolucyjnego zostali aresztowani, a nadzieje mas pracujących na wyzwolenie spod panowania kapitalistów przekreślone zostały na długie lata.

Znaczna liczba bezrobotnych sprzyjała częstym demonstracjom, w czasie których dochodziło do starć z policją. W 1926 r. bezrobotni przystąpili do szturmu na budynek Magistratu, a w 1936 r. strajkujących robotników ziemnych pobili policjanci sprowadzeni specjalnie z Golędzinowa. Władze więzienne i policja przeprowadzały kilkakrotnie masakry więźniów politycznych na Zamku. W 1934 r. podczas demonstracji 4 tysięcy bezrobotnych przed Państwowym Urzędem Pośrednictwa Pracy doszło do starcia z policją, w którym kilkunastu z nich raniono, a dwóch zabito. W Lublinie poważne wpływy wśród mas pracujących miały legalne organizacje rewolucyjne: PPS-Lewica i Zjednoczenie Lewicy Chłopskiej „Samopomoc", której czołowy przywódca, Stanisław Wójtowicz, uzyskał w wyborach w 1928 r. mandat poselski.

W okresie frontu ludowego zacieśniała się współpraca KPP z lewicowym odłamem PPS, SL, Bundu i Poalej-Sjon. KZMP przystąpił do skupiania młodzieży we froncie młodego pokolenia. Najwięcej entuzjastów realizujących te hasła było na Śląsku i w Lubelskiem. Jedną z form działalności frontu ludowego była akcja na rzecz pokoju. W Lublinie prowadzona była ona w oparciu o oddział Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Przewodniczącym zarządu głównego tej organizacji w Warszawie był Andrzej Strug. **Manifestacją frontu** ludowego w Lublinie był obchód 30 rocznicy „Krwawej Środy", we wrześniu 1936 r.

W pochodzie liczącym 10 tysięcy osób wzięli udział robotnicy i chłopi, młodzież socjalistyczna i wiciowa. W procesie lubelskim 40 działaczy KPP, KZMP i TUR, który odbył się w 1937 r., znaleźli się obok robotników młodzi nauczyciele i studenci; wśród tej grupy była córka kuratora szkolnego, Wanda Lewicka. Czołowym oskarżonym w tym procesie był Franciszek Jóźwiak. Proces lubelski miał podobny charakter do słynnego procesu wileńskiego z Henrykiem Dembińskim na czele. Szerokie rozmiary przybrała też akcja strajkowa nauczycieli na Lubelszczyźnie, którzy zaprotestowali przeciwko zawieszeniu przez władze sanacyjne Zarządu Głównego ZNP. Kierował nią Zarząd Okręgowy ZNP, którego prezesem w latach poprzednich był Czesław Wycech. Od połowy 1937 r. wzmogły się ataki ze strony sanacji i endecji przeciwko organizacjom i ludziom, którzy we froncie ludowym widzieli siły zdolne obalić klikę sanacyjno-faszystowską i obronić niepodległość Polski.

Życie artystyczne Lublina skupiało się głównie w budynku teatru, wzniesionym jeszcze za czasów zaboru. Miało ono charakter elitarny, ale wystawiane sztuki dostarczały przeżyć lubelskiej publiczności częściej, niż w okresie międzywojennym, któremu towarzyszyły stałe trudności finansowe. Mimo zadowalającego poziomu przedstawień frekwencja stale się zmniejszała. Sytuacji tej nie poprawiło wprowadzenie przez dyrekcję biletów kredytowych. Po 1929 r. Lublin pozostał bez przedstawień teatralnych. Dopiero kilka lat przed wojną zawitał Objazdowy Teatr Wołyński im. Juliusza Słowackiego, który zdobył publiczność lubelską. Mimo istnienia Towarzystwa Muzycznego miasto nie miało stałej orkiestry symfonicznej. W Lublinie występowali gościnnie Ludwik Solski i Karol Adwentowicz; porywała widownię lubelską Lucyna Messal. Wśród muzyków koncertujących w mieście byli: Ignacy Paderewski, Irena Dubiska i Artur Rubinstein.

W 1937 r. Lublin liczył 120 tysięcy mieszkańców i był poważnym na ówczesne warunki ośrodkiem oświaty i nauki. W jego murach znajdowało się kilkadziesiąt szkół powszechnych i kilkanaście średnich różnego typu. Duża liczba szkół, w których pracowali nauczyciele zajmujący się zarazem pracą naukową, i utworzenie Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego spowodowały skupienie w Lublinie dużej liczby inteligencji o silnych zainteresowaniach naukowych. Koncentrowały się one w Towarzystwie Przyjaciół Nauk i Towarzystwie Naukowym KUL. W dużym stopniu do szerzenia wiedzy przyczyniła się Biblioteka im. H. Łopacińskiego, a do upowszechnienia oświaty i czytelnictwa wśród robotników — Towarzystwo „Światło" założone przez S. Żeromskiego oraz Biblioteka LSS.

Listy do KAMENY

W obronie czci Józefa Czechowicza

NIE ODWIEDZAŁEM go ani na Kapucyńskiej, ani na Radziwiłłowskiej, ani w Warszawie. Piłem z nim herbatę, kawę, wino, wódkę i koniak, ale nie wypiłem bruderszaftu. Mimo to w tych latach, po moim przyjeździe do Lublina kiedy on był jeszcze w Lublinie bądź doń przyjeżdżał, spotykaliśmy się i rozmawiali na różne tematy jego lub mnie interesujące.

Poznałem go już jako człowieka dojrzałego, z pewnym dorobkiem poetyckim, jako nauczyciela o szczególnych zainteresowaniach. I dlatego ośmielam się wystąpić (skoro nikt z wcześniej i nawet może lepiej i głębiej go znających, prócz profesora Witolda Chomicza, nie wystąpił przeciwko zbeszczeszczeniu — takie, niestety, znajduję tylko określenie na to, co się stało — jego postaci, jego czci) przeciw kalaniu pamięci Józefa Czechowicza.

Nie zamierzam ani atakować ani tym więcej napadać na kogokolwiek za jego osobiste przekonania i poglądy. Wolno każdemu myśleć, a nawet wypowiadać się jak sam uważa za słuszne. Może każdy opowiadać o swojej roli w pewnym środowisku, w określonym czasie, w kręgu osób wyróżniających się w pewnym okresie, to jego osobista rzecz. Czy jednak każdy może swoje doznania, swoje poglądy imputować osobom, z którymi się kiedyś stykał, a zwłaszcza tym osobom, które zaznaczyły swoją działalność uznanym powszechnie dorobkiem w jakiejkolwiek dziedzinie i które zagasłszy przed laty nie mogą same wystąpić w obronie swojej godności osobistej i nie mogą ukazać prawdziwego obrazu kształtowania się swojej osobowości i zaprzeczyć sugerowaniu im pewnych wad czy nawet defektów psychicznych?

Odbrązowiano, może ktoś powiedzieć, nie takich wielkich ludzi, dlaczego nie wolno tykać ludzi prawie nam współczesnych, choćby nawet usadowionych już w narodowym panteonie? Może jest jednak jakaś różnica w ujawnianiu drobnych szczegółów dotyczących życia czy poglądów, bądź wewnętrznego życia — jak to uczyniono choćby tylko z Adamem Mickiewiczem czy Janem III Sobieskim, jako że to właśnie pogłębiło tonację barw ich portretów, nie umniejszając im sławy i znaczenia w społeczeństwie. Inna jednak to rzecz, kiedy jakąś postać znaną przez wielu jeszcze żyjących ludzi, ktoś by przedstawił fatzywie w obrazie niemal szkalującym tę postać.

O cóż bowiem chodzi? Na otwarciu wystawy pamiątek po Józefie Czechowiczu bądź rzeczy z jego postacią związanych, mających znaleźć się w organizowanym muzeum jego imienia, usłyszeliśmy zapowiedź ukazania się w niedługim czasie powieści biograficznej o tym lubelskim poecie. Następnie ujawniono nam garść szczegółów z jego życia, które w tej powieści znaleźć się mają. Nie wiem, jakie inni słuchacze odnieśli wrażenie, a byli tam i literaci i plastycy i intelektualiści, ja byłem zaskoczony i tak oszołomiony tym, co usłyszałem, że nie mogłem w pierwszych chwilach zdać sobie nawet sprawy z tego, iż właściwie nikt nie wystąpił przeciwko takiemu ukazaniu poety szerokiej publiczności.

Nie wiadomo, jak ma ta powieść w szczegółach wyglądać ale jeśli ma być powieścią biograficzną, zapewne bohater będzie się nazywał Józef Czechowicz, będzie miał brata Stanisława, przyjaciół literatów Konrada Bielskiego i Wacława Gralewskiego, może także i innych współczesnych mu młodych lubelskich poetów, może i ówczesnych grafików i plastyków, może, może... Jeśli jakiś autor stworzy dzieło literackie, ale i dzieło i literackie naprawdę, jak np. Tomasz Mann „Doktora Faustusa" i we wspaniały sposób ukaże w prawdziwej fikcji literackiej szczegóły autobiograficzne czy charaktery osób z kręgu swoich przyjaciół i znajomych — no bo skądś w końcu musi czerpać ten materiał twórczy — to jest to dzieło nie dające się zadresować szczegółowo, lecz kierujące myśli i tezy autora pod adresem całego społeczeństwa, jego filozofii, polityki, ustroju. Nazywając jednak konkretnie w powieści już w założeniu nazwanej biograficzną bohatera i jego otoczenie autentycznymi imionami i nazwiskami, zobowiązujemy się do rozgrywki zgodnej z tak zwanym dawniej kodeksem honorowym: musimy wtedy, niestety tak, sięgnąć do tego, co się nazywa źródłem historycznym, literackim czy naukowym, gdyż to, czym obdarzymy w naszej koncepcji bohatera i inne postacie w powieści, musi być zgodne nie z naszym osobistym odczuciem, wyobrażeniem czy nawet przekonaniem, lecz zgodne z rzeczywistością, z prawdą. Inaczej, trzeba by Lublin nazwać w powieści np. Libiążem, Józefa Czechowicza Czesławem Józefowiczem, Konrada Bielskiego Bartoszem Kielskim, Wacława

(Dokończenie na str. 11)

Przemyśl: towarzystwa regionalne

(Dokończenie ze str. 3)

gactw kopalnianych, a szczególnie gazu ziemnego". Sesja ta zwróciła uwagę odpowiednich czynników na nie wykorzystywane dotychczas bogactwo Przemyśla.

Poważne osiągnięcia w działalności naukowej ma również Towarzystwo Historyczne, przy którym działa Stacja Naukowa, opiekująca się m. in. badaczami regionalnymi, pracującymi na terenie województwa.

Pożyteczną akcją w zakresie popularyzacji literatury polskiej i obcej oraz języka polskiego chwali się Towarzystwo Literackie im. A. Mickiewicza oraz Towarzystwo Miłośników Języka Polskiego — koło w Przemyślu. Dzięki ich staraniom rokrocznie odbywają się sesje popularnonaukowe.

Niektóre towarzystwa ściśle współpracowały z placówkami naukowymi i kulturalnymi działającymi w mieście. TPN ma piękne wyniki w ramach współpracy z muzeum przy organizacji wystaw, wydawnictw z okazji XX-lecia PRL oraz akcji odczytowej. TPN korzysta z lokalu muzeum na posiedzenia naukowe, tutaj mieszczą się też biura towarzystwa oraz biblioteka naukowa.

Polskie Towarzystwo Historyczne wraz ze Stacją Naukową posiada siedzibę w Wojewódzkim Archiwum Państwowym, działającym w Przemyślu. Podobnie biblioteka miejska udostępniła swoje lokale Towarzystwu Literackiemu im. A. Mickiewicza oraz Towarzystwu Miłośników Języka Polskiego. Współpraca ta posiada ciekawe wyniki, przynoszące korzyści obydwu stronom. Sprawiła ona, że w środowisku przemyskim zaczęto się poważnie zastanawiać nad sprawą koordynacji działalności kulturalnej w mieście. Problem ten trafił na podatny grunt, gdyż w tym czasie zaczęto coraz głośniej mówić o koordynacji wysiłków i środków na cele kulturalne, których — jak zwykle — jest zawsze mało.

Nic więc dziwnego, że w styczniu 1964 roku z inicjatywy kilku działaczy towarzystw i przy pomocy Wydziału Propagandy KP PZPR odbył się sejmik towarzystw kulturalnych i naukowych, na którym przedyskutowano wiele problemów związanych z ich działalnością. Uczestnicy sejmiku postanowili powołać „Radę Towarzystw Naukowych i Kulturalnych Miasta Przemyśla".

Po dwuletnim okresie działalności rady można stwierdzić, że jej powołanie okazało się bardzo pożyteczne. Z ramienia rady w ostatnim czasie podjęto szereg akcji zmierzających do uaktywnienia słabo pracujących towarzystw, głównie technicznych.

W okresie kampanii wyborczej do Sejmu i rad narodowych włączyła ona wszystkie towarzystwa do akcji odczytowej oraz propagandowej. Z inicjatywy rady udało się nawiązać współpracę z Oddziałem PAN w Krakowie, który kilkakrotnie przysyłał na konsultacje i wykłady wybitnych specjalistów z dziedziny prawa i medycyny.

Rada Towarzystw doszła do wniosku, że dla tych wszystkich organizacji bardzo potrzebne jest wspólne wydawnictwo, w którym można by, w formie komunikatów czy streszczeń, publikować prace członków, nierzadko pracujących już od kilku lat nad jakimś zagadnieniem.

Dzięki podjętym staraniom udało się uzyskać zezwolenie na wydanie pierwszego zeszytu „Sprawozdań z posiedzeń naukowych Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Przemyślu i innych towarzystw naukowych i kulturalnych miasta Przemyśla". Dzięki pomocy finansowej Oddziału PAN w Krakowie wydawnictwo o objętości około 10 arkuszy druku ukaże się w najbliższych dniach. Zamierzeniem inicjatorów jest wydawanie podobnych opracowań w latach następnych.

W roku bieżącym Rada Towarzystw przygotowuje się do uroczystych obchodów ostatniego roku Tysiąclecia. Między innymi organizuje się sesje naukowe oraz przygotowuje wydawnictwa popularnonaukowe: „Zamek i park w Krasiczynie" oraz „Przemyśl w starożytności i wczesnym średniowieczu". Jak dotychczas Rada Towarzystw nie dysponuje żadnymi środkami, dlatego też akcję wydawniczą przejęło w całości Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Przemyślu, które od trzech lat uzyskało opiekę merytoryczną i finansową z Oddziału Polskiej Akademii Nauk w Krakowie.

Bardzo żywy ruch regionalny Przemyśla ma wiele jeszcze niedociągnięć. Brak towarzystwom naukowym odpowiednich siedzib, w których można by udostępnić wspaniałe zbiory biblioteczne choćby siedmiu towarzystw. Zbiory te znajdują się w różnych miejscach, co utrudnia korzystanie z nich. Inteligencja przemyska nie posiada jakiegoś klubu — lokalu, gdzie odbywałyby się posiedzenia naukowe, spotkania czy dyskusje. Muzeum Ziemi Przemyskiej, które pod swój dach przygarnęło pięć towarzystw oraz radę, nie zapewnia odpowiednich warunków pracy tym pożytecznym placówkom, ponieważ samo posiada dość ciasne pomieszczenia, nie przystosowane do pracy kulturalnej i naukowej. Poza tym ze względu na bezpieczeństwo zbiorów muzealnych nie można prowadzić działalności w godzinach popołudniowych. A przecież większość członków może korzystać z bibliotek i pracować w towarzystwach tylko w tych godzinach. Poważnym mankamentem organizacyjnym wszystkich towarzystw jest brak pracowników etatowych. Wyjątkiem jest tutaj TPN, które ze względu na szeroką działalność naukowo-badawczą, wydawniczą i posiadany duży księgozbiór naukowy (około 12000 tomów) zatrudnia jedną osobę na pełnym etacie. Nawał prac kancelaryjnych i inwentaryzacyjnych uniemożliwia temu pracownikowi pracę dla innych towarzystw. Natomiast Rada Towarzystw nie posiada ani jednej siły administracyjnej. Prace kancelaryjne prowadzi ofiarnie i bezinteresownie jeden z pracowników muzeum. Stan ten musi w najbliższym czasie ulec generalnym zmianom. Rady narodowe powinny ze swoich budżetów wygospodarować jakieś środki na pomoc dla zasłużonych przecież instytucji.

Nie trzeba zapominać, że ofiarna działalność wielu działaczy posiada też granice i nie należy tych ludzi zniechęcać. Regionalnym towarzystwom Przemyśla należy się od Prezydium Miejskiej Rady Narodowej odpowiedni lokal, np. w pomieszczeniach Miejskiej Biblioteki Publicznej przy ul. Grodzkiej, które po oddaniu budynku dawnej synagogi na cele biblioteczne zostaną zwolnione. Bogata tradycja kulturalna Przemyśla winna być pieczołowicie kultywowana i podtrzymywana. Niech opinia tysiącletniego grodu nad Sanem, jako centrum kulturalnego tego obszaru, pozostanie nadal żywa.

Antoni Kunysz

Dom na wzgórzu

(Rozdział z powieści)

JAN KOPROWSKI

SZANOWNY Panie! Poczuwam się do obowiązku podziękować Panu za okazaną mi pomoc. Wdzięczność moja tym większa, że jest Pan dla mnie zupełnie obcym człowiekiem. Prawdę mówiąc, często więcej życzliwości doznajemy od obcych, niż od swoich. Ogromnie żałuję, że nie mogłem pozostać w Kwietniewie dłużej. Po powrocie do Poznania nie przestałem myśleć o tym, co się stało. Przeciwnie: dopiero teraz myśli kłębią mi się w głowie i cały czas krążą wokół zagadkowej śmierci mojego ojca. Mam nadzieję, że milicja wcześniej czy później wyświetli tę sprawę, ale czyż wyświetlenie jej zmieni coś w sytuacji? Ojciec mój już nie powstanie do życia, a ukaranie sprawcy, jeśli nawet spotka go surowa kara, da mi jedynie gorzką satysfakcję. Odkąd zacząłem żyć świadomie, zdawało mi się, że nie kocham mojego ojca tak, jak inni synowie kochają swoich ojców. I oto poczynam sobie zdawać sprawę, że to nieprawda. Śmierć, która zamknęła jego życie na zawsze, otworzyła we mnie ukryte złoża miłości. Może zresztą tak być powinno. Dopóki człowiek żyje i jest wśród ludzi, jego obecność traktujemy normalnie jako coś oczywistego. Dopiero, gdy go zabraknie, dostrzegamy nagle, cośmy stracili. Uczucia poetów skierowane są zazwyczaj do matek. Ileż to czytałem wierszy, które poeci poświęcili swoim matkom. Muszę też zauważyć, że są to najpiękniejsze wiersze, jakie kiedykolwiek czytałem. Nawet słaby poeta o matce swojej napisze wzruszająco. Ale my, ludzie zwyczajni, bardziej przywiązujemy się do ojców. Pamiętam, że już jako mały chłopiec, choć niewiele jeszcze rozumiałem, w sprawach rodziców instynktownie brałem stronę ojca. Nie wiedziałem, bo nie mogłem wtedy wiedzieć, kto z nich miał rację. Ale to nieważne. Bo gdybym nawet wiedział, prawdopodobnie nic by to nie pomogło. Ojciec miał rację zawsze i ja w duchu rację tę podzielałem. A mimo to dziś wyrzucam sobie, że niedość okazywałem mu serca. Zwłaszcza w latach późniejszych, gdy już sam byłem człowiekiem dorosłym. Jest to, przypuszczalnie, grzech wszystkich dzieci. Gdy są małe, niczego z tych spraw nie rozumieją, ale gdy podrosną i stają się rozumniejsze, budzi się w nich bunt przeciwko rodzicom. Często bunt ten nie ma żadnego uzasadnienia. Jest to bunt czysty, bunt dla buntu. W szkole buntować się nie można, bo wyleją, bunt wobec kolegów też nie ma sensu, bo koledzy okrzyczą cię parszywą owcą i jeszcze manto sprawią przy okazji, więc pozostaje tylko dom. Nieskończona dobroć rodziców powoduje, że można im ciosać kołki na głowie. Nie, ja taki straszny znowu nie byłem. I nie piszę tego po to, by torturować samego siebie. Jakkolwiek u mnie było, nie było jeszcze najgorzej. A przecież nie mogę uwolnić się od poczucia winy wobec ojca. Najbardziej trapi mnie to, że nigdy się już nie dowiem, jak było naprawdę. I nie odrobię moich „przewin". Nie zapytam ojca, a on mi nie odpowie. Onieśmielało mnie wobec niego to, że był małomówny. Był człowiekiem dobrym, na pewno, ale nie miał owej otwartości, która sprawia, że lgniemy do ludzi i gotowi jesteśmy powierzać im najintymniejsze nasze przeżycia. Nie zdarzyło się, aby doszło między nami do takiej rozmowy, jakie można spotkać nieraz w powieściach, kiedy ojciec, przynajmniej na chwilę, przynajmniej na jedną rozmowę, przestaje być ojcem, a staje się starszym przyjacielem swojego syna.

Ale teraz, kiedy ojca mojego nie ma już na świecie, pojmuję, że za tą rzeczywistą, czy tylko pozorną małomównością kryło się dobre serce. Czy ojciec mnie kochał? Nigdy mi tego nie powiedział, ale przecież takich rzeczy się nie mówi. Miłość nie potrzebuje słów. Wszystko to prawda, a jednak chciałbym mieć takie wspomnienie, kiedy ojciec, dajmy na to, głaszcze mnie po głowie i mówi: „Synu, synu, jak ja cię kocham!" Ja wiem, że to, co napisałem przed chwilą, jest naiwne. Nie zmieni to w niczym faktu, że wspomnienia takiego nie mam. W każdym razie nie przypominam sobie, by coś podobnego kiedyś się zdarzyło, a jeśli sobie czegoś nie przypominamy, to tak jakby to rzeczywiście nigdy nie istniało.

Mógłbym więc powiedzieć, używając języka sportowego, że mecz między ojcem a synem przyniósł wynik remisowy. On mi nie okazywał swoich uczuć, a ja mu się za nie nie odpłacałem. Tak, ale rachunek rozumowy nie wystarcza. Sprawa uczuć to nie buchalteria. Braków w tym względzie nie wyrówna żaden rozsądek, żadna kalkulacja. Rzecz ciekawa: nigdy w ten sposób nie myślałem o matce. Może to, co powiem, wyda się Panu gorszące, lecz było mi prawie obojętne, co ona o mnie myśli i czy obdarza mnie uczuciami miłości czy nie. Jeśli wiedziała, jeśli wyczuwała, że ja tak myślę o niej, było jej z pewnością przykro i jest to niewątpliwa krzywda, jaką jej wyrządziłem i wyrządzam. Zadaję sobie tylko jedno pytanie: czy gdybym ją nagle utracił, czy zmieniłby się mój stosunek do niej? Czy obudziłby się we mnie żal za niespłacone wobec niej długi? Bo matka na swój sposób kochała mnie, wiem, iż, ubolewała nad tym, że po rozwodzie nie może mnie zatrzymać przy sobie. Nie wiem zresztą, czy gdyby tak się stało, długo bym przy niej wytrzymał. Zawsze ciągnęło mnie w świat i może dlatego byłem za ojcem, że wyczuwałem w nim podobne pragnienia. Ojciec mówił nieraz, pamiętam to dobrze: „Nawet ptak, co nie ma skrzydeł, nie siedzi na jednym miejscu. A cóż dopiero człowiek, który ma nogi, ma do dyspozycji koleje, okręty, samoloty". Swojej największej podróży nie mógł jednak zrealizować. Nie wiem, czy wspominałem Panu w Kwietniewie, że ojciec chciał wyjechać do Ameryki. Nie dla zarobku. Nigdy nie przykładał nadmiernej wagi do pieniędzy, choć doceniał ich znaczenie w naszych czasach. Chciał zaspokoić swoją ciekawość świata. A tam, gdzieśmy mieszkali, często mówiło się o Ameryce. Przychodziły do znajomych listy i paczki z Ameryki, słyszało się nieraz słowa: w Ameryce to, w Ameryce tamto. Ojciec mój był patriotą swojego kraju. Nie wyobrażał sobie, by mógł go opuścić na stałe. Do Ameryki pragnął pojechać po to, by się przekonać jak tam jest naprawdę. Wiedział, że jedni się tam bogacą, a inni schodzą na psy. Ale nie wystarczała mu ta wiedza słyszana od ludzi, wyczytana z listów i gazet. Chciał ją mieć z pierwszego źródła, widzieć na własne oczy, dotykać własnymi rękami...

Niech mi Pan daruje, że się tak rozpisałem i że zebrało mi się na wynurzenia, które, być może, wcale Pana nie obchodzą. Ale odczuwam potrzebę podzielenia się z kimś myślami, które nie dają mi spokoju. Może mi będzie lżej, gdy obarczę jeszcze kogoś brzemieniem moich kompleksów i przewinień prawdziwych czy tylko urojonych. Wiem zresztą, że historia mojego ojca bardzo Pana interesuje i to jest jeszcze jeden powód, który skłonił mnie do napisania tego listu. Zawsze będę dobrze wspominał Pańską gościnę. Rzecz to w naszych czasach coraz rzadsza. Tym samym bardziej cenna. Proszę przekazać moje serdeczne pozdrowienia i podziękowania Pańskim Rodzicom. Ściskam Pańską dłoń, bardzo zobowiązany Michał Nestor.

Trzymałem list Michała w ręku i przypartywałem się jego drobnemu pismu. Ależ tak, ogromnie jestem panu wdzięczny, że pan do mnie napisał. Czekałem na ten list, choć wcale nie byłem go pewien. Dowiedziałem się z niego wiele o panu. Może nawet więcej o panu, niż o pańskim ojcu. Widzę teraz ojca przez obraz jego syna. List pański ma dla mnie dodatkowe znaczenie, którego się pan zapewne nie domyśla. Oto zmusza mnie on, tak, właśnie zmusza do spojrzenia na siebie i mój stosunek do własnych rodziców. Jestem w tej sytuacji, że matka moja i ojciec mój żyją, że mogę ich widywać codziennie, rozmawiać z nimi. Będę teraz myślał o tym, czy postępuję wobec nich właściwie. Nie wolno mi niczego zaniedbać, by nie wyrzucać sobie potem, kiedy już będzie za późno, że czegoś nie dopełniłem, że są doły czy wyrwy, których już zasypać nie można. W moim ojcu widzę także pewne podobieństwa do ojca pańskiego. Nie zewnętrzne, rzecz jasna. Tych nie ma. Widzę je w tym, co pan nazwał „tęsknotą do świata". Otóż i ojciec mój marzył zawsze, by poznać świat. Ale nie mógł marzenia swego zrealizować i, jak sądzę, pogodził się z tym. Lecz czasami, gdy stanie przy oknie o zmierzchu i zasłucha się w świat za szybami, jest zupełnie nieobecny. Można gadać do niego, a on nie słyszy. Matka mówi w takich chwilach: „Trzeba by z kulomiotu strzelić, to usłyszy". A kiedy oderwie się od okna i wróci na izbę, jest jakby oszołomiony. Tylko, że nigdy o tych swoich tęsknotach nie mówi. Może nie chce robić przykrości matce, wyjątkowej domatorce, której nic nie obchodzą — jak sama mówi — cudze kąty. Tak sobie myślę, że ludzie dobierają się całkowicie przypadkowo i jeżeli żyją ze sobą zgodnie, to dzięki temu, że rezygnują z wielu rzeczy, które kiedyś należały do ich życiowego programu. Od chwili, gdy otrzymałem pański list, zastanawiałem się, czy moi rodzice są, albo lepiej: czy byli szczęśliwi. Bo przecież teraz, gdy są już starzy, żyją własną przeszłością. Jeżeli więc byli szczęśliwi, starość ich jest dobra, harmonijna, ale jeżeli nie? Że też wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Jak daleko sięgnę pamięcią w przeszłość, widzę ojca wesołego, lubił on śpiewać i tańczyć, nie stronił od kieliszka i zabawy. Matka była kobietą o zupełnie odmiennym usposobieniu. Nie lubiła towarzyskiego gwaru, męczyły ją uroczystości rodzinne, niechętnie szła w odwiedziny. Ojciec korzystał z każdej nadarzającej się okazji, by się zabawić, matka decydowała się na wyjścia z ogromnymi oporami. Najchętniej siedziała w domu, zajmowała się robotą, czytała. Lubiła czytać i, zdaje się, że świat, przychodzący do niej przez lekturę zaspokajał w sposób wystarczający jej „głód świata", jeżeli go posiadała. Bo na pewno tego nie wiem. Teraz pojmuję, że myślenie o pańskim ojcu będzie zawsze kojarzyło się u mnie z myśleniem o moim ojcu, a obraz pańskiej matki, którą odwiedziłem pod Żurawicą, będę ustawiał obok obrazu mojej, choćby to były obrazy różne i zupełnie do siebie niepodobne.

PIERWSZA MIŁOŚĆ

WAWRZYNIEC BEREZECKI

WOJCIECH palacz był naszym lokatorem zajmującym mieszkanie w sąsiednim naszym domku. Przychodził o dwunastej cały zakopcony, błyszczały tylko wesołe jasne oczy i długie żółte wąsy.

Wojciechowa, łagodna przysadzowata kobieta o dobrych oczach, wychodziła na spotkanie mężowi i rozgarnąwszy mu wąsy witała pocałunkiem. Tuż za matką w wesołych podskokach biegła siedmioletnia Pola, śliczna jedynaczka, i dopadłszy ojca całowała go zadyszana i uradowana w zasmolone ręce. — Witaj, tatusiu! — wykrzykiwała dźwięcznie.

Jedyny tylko raz goszczony byłem u Wojciechostwa. Uczepiłem się matki i tak jakoś przy pomocy spódnicy znalazłem się u nich w obszernej kuchni. Był akurat obiad i dostałem talerz klusek z mlekiem. Miałem ze sześć lat i stół mi był zupełnie zbędny. Tego samego zdania była i Wojciechowa, bo postawiła mi mleczne danie na niziutkim stołeczku. Ale dopasowałem się: stałem na klęczkach i trzepałem polewkę nieco przydużą łyżką jak się patrzy. Łyżka była ciężką, posrebrzana, boleśnie dzwoniła po zębach, ale cała się w ustach nie mieściła: musiałem siorbać z koniuszka. Matka stała za mną, rozmawiała z Wojciechową, a w przerwach wpajała we mnie kanony towarzyskiej ogłady: — Nie chlupaj tak!

Wojciech jadł obiad w pokoju, ale Poli jakoś nie było słychać. Odczuwałem ten brak całą duszą, nie w smak mi były i kluseczki.

Nazajutrz znów wałęsałem się pod ich wysokim oknem, ale bez pomocy matczynej spódnicy wejście było nie do pomyślenia! W następnym dniu przywabiła mnie do okna przyczyna raczej nagła: ktoś jęczał. Ależ to głos Poli! W przerwach słyszałem Wojciechową. Zrozumiałem! Chodziło o ząb, o ból zęba, mówiono o wyrwaniu go.

A więc Pola pójdzie zaraz z mamusią do miasta, do lekarza, co wyrywa zęby! Przez swoje nieszczęście Pola stawała mi się coraz droższa, coraz bliższa. Chciałem im towarzyszyć, odprowadzić, bałem się matki, bałem się miasta, w którym jeszcze nigdy nie gościłem. Byłem samotny do samego wieczora.

Po kilku dniach Pola znów była wesoła, znów się bawiła w piasku rozsypanym przed oknem. Przyłączyłem się do niej. I zaszła dziwna rzecz w moim życiu, pierwsza dziwna rzecz. Tu się ukłonię w stronę Freuda, o którego istnieniu miałem się po ćwierćwieczu dowiedzieć. Wypadek, który wówczas w jej i moim dzieciństwie zaszedł, opisałem po szesnastu latach, po powrocie z Rosji, w nowelce pt. „To, co ukrywa tajemnica". Pisałem wówczas tylko po rosyjsku, z Rosji świeżo wyniosłem wyrobienie do dekadentów, symbolistów, przybyszewszczyzny i inne zatracone gusty. Płodny to był ten wrzesień 1918 roku! Pisałem dzień w dzień przez cały miesiąc i jeszcze po nim. Nowela, szkic, poemat, humoreska — i przy tym co dzień kilka stron pamiętnika. Nie będę streszczał wymienionej nowelki nawet w dwu słowach. Byłaby to sztywna wtórność, tłumaczenie z tłumaczenia z tłumaczenia, gdzie świeżość dziecinnego epizodu zupełnie straciłaby pierwotny aromat. Opowiem to w kilku słowach, jak gdybym tej nowelki nigdy nie pisał.

A więc nie ma i nie było Rosji. Jestem tylko ja — sześciolatek i siedmioletnia Pola. Nigdy nie będzie roku 1918, jest tylko kupa wilgotnego piasku pod oknem i my dwoje. Siedzimy naprzeciw siebie, słońce pali, robimy babki, nieudane czym prędzej rozrzucamy. Pola nie używa foremki, ja też nie śmiem pożyczyć naczynia. Jestem nadzwyczaj szczęśliwy. Tak mi błogo, że aż może z obawy, aby mamusia jej nie zawołała i nie zabrała mi szczęścia. Pierwszy raz tak się udało, że jesteśmy długo razem, że to nie przelotna mijanka.

Stoję na kolanach, Pola siedzi w kucki podniósłszy wysoko kolana i wstydliwie zakrywszy je sukienczyną. Moje babki — zgrabniejsze, jej byle jakie, uklepuje nierówno, często niszczy, grymasi niezadowolona ze swego artyzmu. Mam już kilkanaście, ona dopiero — kilka, nie dogoni mnie. Moje stoją w równym szeregu, jej rozsypane chaotycznie. Widzę, że mi zazdrości, że jest zła. Ni stąd, ni zowąd jednym ruchem zmiatam swoje babki i zaczynam uklepywać od nowa. Teraz ona ma więcej, doganiam ją, ale widać nie dogonię. Radośnie uśmiecha się, wdzięczna, że dałem się prześcignąć, gwałtownie się śpieszy, żebym już jej więcej nie wyprzedził. Zmęczyłem się, siadłem na pięty, ona przysuwa się bliżej, żeby mieć więcej miejsca na dalsze kupki. Spieszy się gwałtownie, chce mnie zostawić całkiem w tyle, chce poniżyć. Zaabsorbowana wyścigiem, nie myśli o sukience, nie zważa, jak siedzi. Sukienczyna marszczy się tu i ówdzie, niedbale wznosi się ku górze, jest już całkiem wysoko. Siedzę naprzeciw bliziutko, wszystko widzę, cały jej wstyd, całe jej piękno tajemne. Chcę ją przestrzec, ale jak tu się odezwać, jakimi słowy... Rumienię się, czerwony jak burak zaciskam usta, ale wzroku nie mogę oderwać. Coś tak tajemnego, tak ponętnego i strasznego, że nie wiem, co się ze mną dzieje. Chcę się odwrócić, aby nie zauważyła moich oczu, ale boję się, że to przekreśli całą sytuację i tylko ją przerazi. Wiem, iż nie zdaje sobie jeszcze sprawy, że podziwiam jej czarodziejski bezwstyd: tak jest przejęta robotą. Ogarnia mnie lęk, strach, wstyd, że coś kradnę, że przyswajam sobie cudzą tajemnicę, cudzą słabość, cudze ubóstwo, krzywdę, niemoc, niższość. Jestem zaczarowany jak królik — nie mogę oderwać oczu, nie mam sił poruszyć głową. I spłoszyć ją boję się — i trwać tak dalej nie można, bo czuję, że mam wypieki, że mi duszno, aż usta rozchylam.

Dawno już przestałem lepić babki, zamarłem w bezruchu. Dotychczas pochłonięta wyścigiem, teraz dopiero zwróciła uwagę na moją bezczynność i spojrzała mi nagle w twarz. Ale teraz ja znów nie zauważyłem, bo oczy miałem przykute do widoku niezwykłego, odrębnego, przerażającego swą bolesnością i kalectwem. Złapała mnie na kradzieży! Od razu zrozumiała moje zapatrzenie. Szybko obsunęła sukienkę, stuliła kolana, odwróciła się w stronę, zamarła. Trochę przybladła, zaczęła szybko oddychać, wreszcie jęknęła, zerwała się i znikła we drzwiach.

Siedziałem jak na węglach. Po chwili poczułem gorzki wstyd, policzki mi płonęły, w głowie huczało. Nie mogłem dalej tak siedzieć, skoczyłem i popędziłem jak szalony. Dokąd, po co? Obleciałem podwórze, wybiegłem przed drugi dom, pognałem ulicą, zawróciłem na podwórze i wpadłem do mieszkania.

Nie spałem całą noc. Gorączka, nie gorączka, ale suche miałem usta. Rozmyślałem, zgadywałem, kombinowałem — i żadnej teorii nie potrafiłem jeszcze stworzyć. Przejęty byłem, oczarowany i rozczarowany. „Więc jak? Czy tak tam być powinno? Przecież to szpetnie. A może to ją boli? Może to jakie okaleczenie? Przecież ja mam inaczej, i Klimek, i Olek inaczej. A Grina? A siostra Pawlika, Paulinka? Dlaczego nie jednakowo? A może to tylko u Poli, bo Pola jest niezwykła, najpiękniejsza, najśliczniejsza. Kogo by tu zapytać? Mamy? Nigdy w życiu! Poli? Niech Bóg broni! Chyba Olka albo Klimka. Oni pewno wiedzą".

Pola nie pokazała się nazajutrz. Ani po dwóch dniach, ani po trzech. A i ja miałem lęk przed piaskiem pod oknem Poli. Nie zbliżałem się. Ale z daleka śledziłem, czy ona wyjdzie. Nie wychodziła. „Jak wyjdzie, to ucieknę, schowam się. Teraz nigdy nie mogę się tam pokazać. Boże, co to będzie... A ona taka śliczna, dobra, cudowna. Nie mogę bez niej żyć!"

W 1918 roku, po Rosji, po 16 latach Pola z matką mieszkała już na Młynarskiej. Rodzice jej wynieśli się od nas dawno, dawno; Wojciech palacz już nie żył. Ja byłem już dorosły, zwiedziłem kawałek świata. Miasto dzieciństwa wydało mi się ciasne, obskurne, nudne, straszne. A ludzie? Właśnie zacząłem odwiedzać ludzi, którzy kiedyś, w dzieciństwie, przypadli mi do serca. Bodajże najpierw — Wojciechową i Polę. Pola była teraz zwykłą przeciętną niewiastą, drobną, szczupłą. Malutkie piegi na twarzy, te same miłe oczy, zadarty nosek. Ale żeby coś nadzwyczajnego...

Czy pamiętała tamto? Nie poczułem teraz żadnego wstydu, kiedy spojrzeliśmy sobie w oczy. A ona na pewno o wszystkim zapomniała. Ale gdyby tak teraz, po tylu latach, spotkawszy moje oczy zarumieniła się mocno i odwróciła się wstydliwie, — jakby to było pięknie! Znaczyłoby, że tamto jest, nie zgasło, nie wywietrzało. Tamto było i straszne i piękne. A że zapomniała już o wszystkim, to było tylko straszne.

Festiwal nie tylko świętem

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

JESTEM w dość ryzykownej sytuacji obserwatora, który podjął się mówić o całości ważnej imprezy na podstawie jedynie jej fragmentu — tak się bowiem złożyło, że nie od razu znalazłam się wśród gromady zapalonych kibiców Wojewódzkiego Festiwalu Amatorskich Teatrów z Repertuarem Sztuk Polskich, odbywającego się w Klubie „Relaks" na cześć Roku Tysiąclecia.

Uczyniwszy to lojalne wyznanie, czuję się rozgrzeszona i prezentuję z miejsca odważnie generalny wniosek, który z pewnością nie wzbudzi zastrzeżeń, gdyż wielokrotnie już został sformułowany przez osoby kompetentne, zanim się wysnuł w mej opieszałej świadomości laika. Oto więc owa ogólna konkluzja:

W ostatnich czasach amatorski ruch teatralny zatacza u nas coraz szersze kręgi, a przecie jakość jego staje się coraz mniej wątpliwa.

Mnie osobiście przekonało o tym fakcie choćby porównanie osiągnięć świeżo widzianych na kwietniowym przeglądzie — z kilku raczej żałosnymi próbami inscenizacyjnymi zademonstrowanymi przez amatorów zaledwie dwa — trzy lata temu przy okazji świetnego skądinąd konkursu recytatorskiego. Co mam przede wszystkim na myśli? Repertuar. Zagadnienie repertuaru jest niewątpliwie kluczowym problemem imprez kulturalnych podejmowanych na tak wielką skalę. Wynika to bezpośrednio z ich celu, który daje się scharakteryzować najlapidarniej sformułowaniem jednego z regulaminów jako „kształtowanie kultury estetycznej i obyczajowej", rzecz jasna — mas.

Otóż wystarczy rzut oka na sam program wojewódzkiego festiwalu, by nabrać przekonania o wyraźnym postępie zwłaszcza w dziedzinie repertuaru. Nie ma tu dzisiaj ani jednej pozycji wstydliwej, czego nie można było powiedzieć o popisach teatralnych w amatorskich pionach dawniejszych lat PRL. Ale osiągnięcie polega nie tylko na wyrugowaniu bubli. Nietrudno też dostrzec racjonalne tendencje planowe. Szereg pozycji motywuje się np. względem na Tysiąclecie — taka „Stara baśń" Kraszewskiego czy Kochanowskiego „Odprawa posłów greckich", podobno znakomity spektakl Powiatowego Domu Kultury w Krasnymstawie (niestety przez mnie nie widziany).

Lecz osiągnięciem najcenniejszym jest zdobyta wreszcie po większej części umiejętność liczenia się z możliwościami zespołu. Wymownym przykładem — sympatyczne przedstawienie wiejskiego teatru z Łabuniek (powiat zamojski), który przyjechał na festyn wojewódzki z „Dziurdziami" Orzeszkowej w pieczołowitej inscenizacji Amelii Petryk, łączącej szczęśliwie trudy rolnika z zamiłowaniem do sztuki teatralnej. (Dzielna kierowniczka zespołu p. Petryk wykazała nadto szczery talent aktorski w roli babki o nobliwym zabarwieniu folklorystycznym). Podkreślić trzeba, że takie pozycje jak „Dziurdziowie" z ich „polowaniem na czarownice" mogą być bardzo a bardzo przydatne w walce z zabobonami, do dziś w niemałej mierze aktualnej tu i ówdzie.

Na pochwałę zasługuje również wybór „Krzywych luster" Z. Bystrzyckiej przez PDK w Lubartowie, gdzie zespół prowadzi p. Barbara Ziemska. Rzecz jest już stuprocentowo aktualna, bo atakuje wypadki zmowy „czynników miarodajnych", przejawy asekuranctwa i „dygnitarstwa" na szczeblu powiatowym. Rezultat wybrania właściwej pozycji — zupełnie porządny spektakl, w którym tylko niekiedy dialog wykracza poza dyspozycje zespołu.

O szczególnie głębokim zastanowieniu się nad sensem i celami teatru amatorskiego świadczy włączenie do repertuaru kilku sztuk Szaniawskiego, tak delikatnie a czujnie podchodzącego do problemów moralnych. I znowu w konsekwencji mamy wręcz doskonałe wykonanie sztuki „Kowal, pieniądze i gwiazdy" (Powiatowy Dom Kultury w Chełmie, zespół pod kierunkiem p. Stefanii Błońskiej), gdzie zarówno rola tytułowa, jak wszystkie pozostałe, choć powierzone przecie nie aktorom zawodowym, budziły podziw prawdą psychologiczną i wiernie oddaną myślą autora. Z kolei w realizacji Technikum Ekonomicznego Białej Podlaskiej postacie Pani (jednoaktówka z „Dwóch teatrów" — „Matka"), zegarmistrza Artena i jego ucznia („Zegarek") — były utrzymane także jak najwierniej w klimacie Szaniawskiego, co udało się nawet wykonawcy roli Ojca („Powódź) mimo młodego wieku i braku charakteryzacji.

Mniej udatny wydaje mi się natomiast wybór „Króla IV" Grochowiaka. Zespół Wojewódzkiego Domu Kultury w Lublinie, zamierzający obchodzić wkrótce dziesięciolecie, posiada na swym koncie szereg znakomitych pozycji z zakresu polskiej dramaturgii awangardowej. Od paru lat umiejętnie prowadzi ten zespół aktor Teatru Osterwy Zygmunt Fok, który ma słuszną ambicję stworzenia w Lublinie sceny eksperymentalnej. Ostatnio wyreżyserował on z polotem „Wyszedł z domu" Tadeusza Różewicza (pisałam o tym w n-rze 4 „Kameny" rb.). Proszę mi wybaczyć trochę niemiłą uwagę, ale sądzę na serio, że świetnie napisana sztuka poety, który wierzy, iż „Życie ludzkie ma wielką wagę", na pewno bardziej odpowiada zadaniom teatrów amatorskich, aniżeli nie wyważony należycie utwór innego poety, także znakomitego, lecz właśnie w „Królu IV", lądującego po wspaniałych „Szachach" — zapewne tymczasowo — na płaszczyźnie totalnej negacji jakichkolwiek perspektyw organizacyjnych. A bo ten „Król IV" według bystrego spostrzeżenia Marty Piwińskiej — jest jedynie „kolekcją martwych mitów". I cóż dalej? Czy nie za długo, pytam, lubujemy się w analizie sławetnego Mechanizmu Władzy (lub jeśli wolicie Wielkiego Mechanizmu) i w zagadnieniu brzydoty? Śmiem wątpić, by to *ostinato* kogoś poprawiło. Ostatecznie lepiej chyba pomóc trochę ludziskom przeżyć to jedno życie godnie i nie bez przyjemności, na które zresztą nasi twórcy w praktyce zbytnio się nie wybrzydzają.

Wracając od tej filozofijki na wąskim marginesie do niewczesnych dezyderatów pofestiwalowych, chcę jeszcze raz zaznaczyć, że chętniej bym widziała w programie przeglądu wyżej wspomnianą sztukę Różewicza, która każe widzom podumać nad zautomatyzowanym banałem ich dnia powszedniego, zabawiając ich równocześnie rasowym komizmem komediowym, a niechby momentami i farsowym. Przemawiała za nią również świeższa data premiery.

Poza konkursem wystąpił w festiwalu cieszący się wyborną reputacją studencki teatr „Dren 59". Parę lat temu oceniłam pozytywnie jego inscenizację „Pluskwy" Majakowskiego. Obecnie do „Drenu", wraz z jego kierownikiem Jackiem Skoczkowskim, studentem VI roku wydziału lekarskiego Akademii Medycznej, adresuję dobre słowo za tegoż Różewicza, za przejmujący montaż poetycki pt. „Próba rekonstrukcji", opracowany i wyreżyserowany przez utalentowanego aktora Teatru im. J. Osterwy, Mirosława Gruszczyńskiego Montaż ów zdobył całkiem niedawno pierwsze miejsce w ogólnopolskiej konkurencji teatrzyków studenckich. Wybór i układ tekstów (mówiących o tragicznych latach okupacji i o mozolnej pracy prawdziwego człowieka nad odbudową kryteriów etycznych) jest w wysokim stopniu sugestywny. Recytacja pełna ekspresji, dykcja bez zarzutu. Dużo wyrazu poetyckiego przydaje pomysłowo zaprojektowanym grupom i ewolucjom precyzyjne operowanie światłem (Jerzy Sychut) na tle finezyjnie pomyślanej, ascetycznej scenografii (Fred Kosmala). Efekty akustyczne wydatnie potęgują grozę wielu momentów.

Takich poetyckich kompozycji, nacechowanych autentycznym humanizmem, trzeba nam jak najwięcej w ruchu amatorskim.

A na dziś chwała organizatorom godziwego przedsięwzięcia artystycznego — Wojewódzkiego Festiwalu Amatorskich Teatrów. Przede wszystkim Wydziałowi Kultury PWRN i WDK w Lublinie. Pomyśleć: w ogólnowojewódzkim współzawodnictwie wzięło udział aż trzysta zespołów, ileż trudu wymagały same eliminacje! Zobaczyliśmy w Lublinie piętnaście przedstawień, rzec można — „kwiecie" naszego ruchu amatorskiego, ale zyskaliśmy pewność, że wyrasta ono ze zdrowych korzeni.

Bić fryzjerów!

ANDRZEJ HAUSBRANDT

MOTTO: *„Król Vavra: ...wolę, gdy sekretarz jest marnym fryzjerem, niż kiedy fryzjer jest marnym sekretarzem..."*

(Milan Uhde „Król Vavra")

PO Vaclavskim naměsti, Narodni třida, Pikopie na Malej Stranie i przez rozgrzebany Karlovy Most pojedynczo i grupami snują się młodzi prażanie zdobni w powabne, niewieście (do niedawna) loki à la Beattles. Obecność damskich koafiur na męskich czaszkach ma jednak zupełnie inną przyczynę, niż big-beatowa popularność krzykliwych Anglików. Istotnych powodów pitekantropizacji wyglądu młodych Czechów doszukiwać się należy w głęboko ukrytym kompleksie... fryzjera. Dopiero zapoznanie się z czołowymi dziełami awangardowej dramaturgii czechosłowackiej stawia rzecz całą we właściwym świetle. Mimo zainteresowania różnymi sprawami tego (i nie tylko tego) świata, mimo odmiennych chwytów formalnych, mimo rozpiętości tematyki jest jeden wspólny dla młodej dramaturgii czeskiej mianownik. To fryzjerzy. O czym traktuje „Król Vavra" — Uhdego, „Koniec zapustów" — Topola czy „Wielka Peruka" Karwasza? O fryzjerach! A jak? Zwyczajnie: bić fryzjerów!

Milan Uhde (lat 29) rękami „Króla Vavry" likwiduje wszystkich golibrodów, a w usta jedynego fryzjera na wolności wkłada hasła w rodzaju: „Należy przejść od zasady: świat bez golenia człowieka przez człowieka, do zasady: golimy się sami", lub: „Trzeba zmienić regułę: człowiek człowiekowi fryzjerem, na regułę: golić klientów bez brzytwy".

Josef Topol (lat 30) pisze o zapustnych zabawach poważnie, a nawet tragicznie. Serio więc traktuje swego mefistofelicznego fryzjera. Owego zamieszajlę-aranżera „Masopustu", plotkarza i podżegacza wiejskich sporów i bijatyk. Smrtakfryzjer, balwierz i cyrulik przemyka się na pograniczu jawy i rojenia, fatalnie łącząc świat nierealnej beztroski ze światem żelaznych konsekwencji. Świat poezji i rzeczywistości. Splata je w gordyjski węzeł, który próbuje przeciąć jednym ciosem szpady Rafael, zapustny pseudo-husarz. Młode, zagubione pokolenie. Cios jednak jest niecelny i przypadkowo trafia nie w sprawy, lecz żywego przygłupka. Fryzjer, choć pośrednio, staje się sprawcą zbrodni.

Peter Karvaš (lat 45, senior antyfryzjerskiej grupy) poświęcił „Wielką perukę" dziejom walki Władzy z pewnym teatralnym perukarzem, który najpierw nie potrafił uwierzyć, że ludzie łysi są gorsi od owłosionych, później zaś wzdragał się uznać tezę odwrotną.

Podane przykłady mogą wzbudzić w czytelnikach mylne wrażenie, że po „dramacie faktów", po „dramacie absurdu", po „teatrze okropności" nadeszła epoka „teatru razury". Przynajmniej w Czechosłowacji. Otóż nie! Tak dobrze jeszcze nie jest. Havel pisze nadal o urzędnikach, Klima o intelektualistach, a Smoček balansuje na pograniczu amerykańskiego naturalizmu i amerykańskiego nonsensu, nie poruszając problemów ondulacyjnych. Niemniej jednak i u nich, choć zakamuflowane, pozostaje nadal naczelnym hasłem wezwanie: bić fryzjerów!

Naszą, czeską, słowacką, serbską, chorwacką, słoweńską awangardę — mimo różnic formalnych, różnic tradycji kulturalnych, a w szczególności literackich, charakteryzuje jedna, zasadnicza cecha wspólna. Jest nią mówienie o współczesności, o najbardziej palących sprawach dnia dzisiejszego, przypowiastką, szyfrem, analogią, bajeczką. Gdzieś idąc okrężną, daleką i często zawiłą drogą, pisarz dochodzi do spraw bliskich, leżących tuż przed naszymi nosami. Na półmisku. Niekiedy klucz do szyfru jest łatwy do odnalezienia (choćby u Mrożka), kiedy indziej kluczy jest wiele (np. w teatrze Karpowicza), lub w pełni nie pasuje żaden (Różewicz). Ale z reguły idzie o dziś, o teraz, o konkret życia.

Ivan Klima, obiecujący prozaik, publicysta i reporter (napisał m. in. bardzo udany zbiór reportaży o Polsce) jest autorem sztuki „Zamek" (polska prapremiera w Teatrze im. A. Mickiewicza w Częstochowie, styczeń 1966 r.). Sztuki dość bliskiej Dürrenmattowi, pozostającej w sferze pisarstwa Kafki, a poświęconej ludziom obdarzonym uznaniem i sławą, które straciły już pokrycie. Ludzie ci, wyizolowani w Zamku, dbają już tylko o pozory, o puste formy, kultywując je mimo wygaśnięcia jakichkolwiek żywych treści. Rzecz miała być początkowo o czeskim Kazimierzu, czyli domu literatów w Dobříšu, a stała się paraboliczną rozprawą ze współczesnością, z najświeższą przeszłością, z reliktami „epoki" w dniu dzisiejszym.

Vaclav Havel już drugą z kolei sztukę poświęcił urzędnikom, biurokracji, karierze — słowem całemu skomplikowanemu mechanizmowi życia administracji. Pozornie jest to („Powiadomienie") sztuka antybiurokratyczna, w istocie czeski Parkinson. Bo przekleństwo biur, administracyjne elephantiasis gnębi świat mimo granic i kordonów, nie przebierając w ustrojach, strefach geograficznych i kolorze skóry petentów. Urzędnicy stali się za jednym zamachem złowieszczym symbolem wszystkich mankamentów współczesności i nieodłącznym elementem modernizacji świata, a więc postępu.

Ladislav Smoček, który przed paru miesiącami debiutował na scenie Klubu Dramatycznego czeskim wydaniem „Biękitnego patrolu" czyli sztuką „Piknik" (duża to odwaga pisać w Pradze sztukę o zagubionym patrolu amerykańskim na niewielkiej wyspie Oceanu Wielkiego), teraz pokazał nową sztukę: „Labirynt" (Bludiště). Gdyby nie odmienne rekwizyty i język dialogów podejrzewałbym, że jest to druga wersja komedii Leszka Kołakowskiego „Wejście i wyjście, albo system księdza Jensena", którą niedawno opublikował „Dialog", a przed kilku laty wystawiło warszawskie „Ateneum". W stosunku do „Pikniku" — oczywiście — ogromny krok naprzód.

Kiedy zapytałem Ivana Klimę, czy uważa swoją dramaturgię za to, co może nieprecyzyjnie, ale powszechnie określa się mianem teatru absurdu, odpowiedział mi: „Zamek" równie dobrze można nazwać teatrem absurdalnym o realnym życiu, jak i teatrem realistycznym o życiu absurdalnym". Uważam, że to drugie jest bliższe prawdy.

Jak bardzo absurdalne potrafi być życie udowodnił sam początek niedawnego czesko-polskiego spotkania teatralnego w Pradze. Czescy gospodarze witając naszą bardzo liczną delegację (dwadzieścia pare osób) nie ukrywali, że ze szczególną niecierpliwością i radością oczekują przybycia pani doc. Bobrownickiej z Krakowa, autorki opublikowanej w 1965 r. pracy pt. „Dramat czeski i słowacki na scenach polskich". I oczywiście... pani doc. Bobrownicka nie przybyła, bo jakaś tam urzędniczka Ministerstwa Kultury i Sztuki nie potrafiła dla polskiej uczonej przygotować na czas paszportu. Paszportu do kraju, który tysiące ludzi odwiedzają za „wkładką", na zjazd przygotowywany już od roku. Czysty teatr (a może cyrk?) absurdu!

Gdyby to kogo interesowało, spieszę dodać, że niezawiniona absencja pani doc. Bobrownickiej nie była jedynym polskim absurdem praskiego spotkania. I tak np. po serii bardzo interesujących wystąpień dyskusyjnych gospodarzy i gości, zabrał głos pewien, nie pozbawiony swady, dyrektor teatru z Polski, który w krótkich, rzec można „żołnierskich słowach" zakomunikował zebranym, że on, reżyser, nie jest przyzwyczajony do tracenia darmo (to, to prawda) czasu i wysłuchiwania historycznych wspominków kto, co i kiedy wystawiał, ale, że tu trzeba realnie i konkretnie, a nie takie tam profesorskie ględzenia. Głos nie pozbawiony oryginalności podejścia na spotkaniu, które miało służyć wzajemnemu zbliżeniu i poznaniu.

Wydaje się, że ostatnie spotkanie w Pradze wyraźnie dowiodło, że istota współpracy kulturalnej (a więc i teatralnej) nie może obecnie sprowadzać się tylko do oficjalnych stosunków, różnych imprez na pokaz itp. Najowocniejszą formą zbliżenia kulturalnego jest przede wszystkim wymiana młodzieży. Młodzieży akademickiej. Przykłady? W dwudziestoleciu powojennym 15 polskich premier dały miejskie teatry dramatyczne w Pradze. Te teatry, których kierownikiem literackim jest pani dr Mojmira Janišova — wychowanka wydziału dramaturgicznego Wyższej Szkoły Teatralnej w Łodzi. Jeszcze uczennica Leona Schillera. A więc przede wszystkim ludzie. Ludzie i konkretne inicjatywy. Z tych ostatnich odnotować warto porozumienie jakie zawarto ostatnio pomiędzy Polskim i Czeskim Ośrodkiem Międzynarodowego Instytutu Teatralnego w sprawie wspólnego wydawania corocznie polsko-czeskich zeszytów teatralnych, bilansujących cały dorobek w zakresie współpracy: teatrów, teatrologów, dramaturgów i tłumaczy.

A więc może spotkania mają niejaki sens? Nawet gdy otrą się o absurd. Nawet, gdy jak ostatnie w Pradze, wołają: bić fryzjerów! Bić fryzjerów, którzy utrudniają wymianę i współpracę teatralną polsko-czeską.

Nie, proszę państwa, nie fryzjerów. Bić oportunistów i wałkoni, bić snobów i „modne żony" wyciągające szyje tak daleko, że już nie mogą zobaczyć tego co za miedzą. Rzeczy wartościowych, cennych i nowych. Np. sztuk z kompleksem... fryzjera.

Konfrontacje małych form

WIESŁAW GŁOWACZ

SZCZECIŃSKIE inicjatywy kulturalne cieszą się z zasady dobrą opinią, są dowodem pomysłowości i ruchliwości tutejszego środowiska. Oto jeszcze jedna impreza zanotowana w miejscowym kalendarzu kulturalnym — I Ogólnopolski Przegląd Teatrów Małych Form. Pomyślany jako część składowa Festiwalu Poezji imienia Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, stał się w zasadzie samodzielną manifestacją teatralną o dużych walorach poznawczych i sporym ładunku ideowym.

Zespoły teatralne z Białegostoku, Kielc (o nich głównie piszemy), Częstochowy, Olsztyna, Opola, Poznania, Szczecina, Wrocławia i Zielonej Góry w ciągu pięciu dni kwietniowych zaprezentowały trzynaście programów. Ta nie byle jaka porcja wrażeń teatralnych ułożyła się w pasjonującą chwilami mozaikę propozycji repertuarowych, stylów inscenizacyjnych, poszukiwań takich środków wyrazu, które by możliwie szczelnie przylegały do pojęcia „małe formy teatralne".

Starano się także znaleźć formułę porządkującą te zjawiska, które — udowodnił to udział zespołów z różnych ośrodków i różnych teatrów — znajdują swych entuzjastów wszędzie tam, gdzie aktorzy odczuwają potrzebę wypowiedzi z pominięciem normalnej, konwencjonalnej sceny dramatycznej.

Materiał poznawczy, jakim były programy uczestników przeglądu, potwierdza tę cechę teatrów małych form, że konstrukcja scenariusza opiera się i o samodzielny utwór sceniczny, i o teksty literackie wymagające adaptacji oraz inne rodzaje, jak zapis dokumentalny, autentyczne listy, korzystanie z fragmentów reportaży dźwiękowych, autentyczne wypowiedzi zarejestrowane na taśmie magnetofonowej. Słowem możliwości są tutaj nieograniczone.

Obok programów opartych o teksty utworów pisanych z myślą o scenie, jak w wypadku sztuki Albee'go „Amerykański ideał" w wykonaniu szczecińskiego Teatru „Trzynastu Muz", sztuki S. Wincelberga „Kafaki znaczy wróg" prezentowanej przez Scenę Propozycji przy Państwowym Teatrze Ziemi Opolskiej, większość zespołów szła w kierunku poszukiwania tekstów, które mogłyby stanowić okazję do konstruowania scenariusza, inkrustowanego często sumą różnych elementów literackich.

Wiodącymi zjawiskami przeglądu były programy „Kraina odwetu" w wykonaniu aktorów białostockich, „Pieśń o głodzie" prezentowana przez wykonawcę z Kielc oraz olsztyński program zatytułowany „Wybieram odwagę" oparty na listach Róży Luksemburg.

Tak więc najbardziej interesujące formalnie spektakle łączyły ciekawy kształt sceniczny z wysoką temperaturą ideową.

Aleksander Iwaniec i Piotr Sowiński, twórcy białostockiego teatrzyku „Ekspresja", przedstawili program „Kraina odwetu" według sztuki Romana Brandstaettera „Zmierzch demonów", demonstrując niezwyczajną wprost świetność artystyczną, doskonałe opanowanie rzemiosła, dużą dyscyplinę fizyczną. Odwołanie się do poetyki nadrealizmu w przekazaniu scenicznym postaci Hitlera, wydobycie całego błazeństwa i zarazem grozy wiejącej od osobowości wodza III Rzeszy, spotykały się z entuzjastycznym przyjęciem widowni.

Krańcowo odmienny, jeśli chodzi o zakres bogactwa stylistycznego, był program przedstawiony przez kieleckiego aktora Henryka Giżyckiego. Tekst poematu Brunona Jasieńskiego „Pieśń o głodzie" miał duży ładunek ekspresji, a jego wykonawca zapisał się w pamięci widzów jako aktor sugestywnie przekazujący treść tego przejmującego utworu, w czym walnie pomogły doskonałe warunki głosowe, jakimi artysta dysponuje. Bardzo udanym zamysłem było połączenie tekstu z muzyką wykonywaną na saksofonie. Nie pełniła ona tylko funkcji ilustracji muzycznej, lecz była przemyślaną kontrapunktem, a niekiedy autonomicznym materiałem scenicznym.

Halinie Stojewskiej z olsztyńskiego teatru „Margines" zawdzięczamy opracowanie tekstu i wykonawstwo programu „Wybieram odwagę". Przekazanie postaci Róży Luxemburg na podstawie listów pisanych do przyjaciół, a zwłaszcza do drogiej jej mężczyzny, pozwoliło na zarysowanie portretu psychicznego tej historycznej postaci jako osoby

(Dokończenie na str. 11)

Odpowiedzi Redakcji

J. L. w Tomaszowie Lubelskim. „Mam lat 13, wiem, że na jakikolwiek debiut za wcześnie, ale proszę o ocenę" — piszesz w liście do redakcji. Jeszcze słabe, ale proszę się pocieszyć: niekiedy dwudziestolatki piszą gorsze wiersze. Z ortografią jesteś jednak trochę na bakier!

C. M. w Kaliszanach. Jeszcze nie do druku, ale chyba nieco lepsze od poprzednich. Niech się Pan nie zraża!

W. Z. w Rzeszowie. Pana wiersze bardzo przeciętne, metafory też ograne. Trudno jednak przesądzać sprawę. Na temat odpowiedzi redakcyjnych „Życia Literackiego" nie będziemy dyskutować. Wydaje się nam, że są one bardzo rzeczowe.

I. P. w Łodzi. Nadesłał Pan kilka fraszek pod wspólnym tytułem „Czas": „Czas złodziejem jest człowieka, młodość kradnie i ucieka", „Był czas nie było nas, przyjdzie czas nie będzie nas", „Czas nauczy nas zawodu, czas naukę pcha do przodu". Może lepiej przerzuci się Pan na układanie sloganów propagandowych dla PZU?

„Jon" w Lublinie. Przesyła Pan dwa wiersze i prosi o odpowiedź. Pisze Pan: „Czy mam się dalej rozwijać, czy nie mam talentu. Bo one (wiersze) codziennie zabierają dużo czasu". Jeden z wierszy „Radość" zamieszczamy w tej rubryce: „Zieleń drzew, alejki, ławki, to park. Tabliczka „szanuj zieleń", cień, można ławkę przesunąć ze słońca, odpocząć". Można. Ale po co o tym zaraz pisać i tracić dużo czasu?

„Żbik". Zaznacza Pan, że interpunkcja w Pana wierszu jest do luftu. Żeby tylko interpunkcja!

J. R. w Białymstoku. Pana utwory dość interesujące, ale na debiut chyba jeszcze za wcześnie. Prosimy po pewnym czasie znów nam coś przysłać.

I. A. w Warszawie. Dziękujemy za miłe słowa. Kontakt chętnie utrzymamy. Prosimy jednak o większy wybór.

S. M. w Toruniu. Chcemy zamieścić kilka Pana wierszy, prosimy jednak o cierpliwość. Jeśliby Pan miał w najbliższym czasie nowe utwory — prosimy o przysłanie.

Z. K. w Lublinie. Cieszymy się, że zainteresował Pana artykuł R. Wiśniewskiego na temat lubelskiego sportu. Mamy już kilka listów od czytelników na ten temat. Fragmenty opinii czytelników wydrukujemy w jednym z następnych numerów.

R. D. w Koszalinie. Wziął Pan zwrotkę wiersza Różewicza, zwrotkę Białoszewskiego, zwrotkę Stachury, trochę dodał (chyba) od siebie i sądził, że powstał oryginalny utwór. Zabrakło jednak... Mickiewicza.

M. K. w Warszawie. Dlaczego nie napisze Pan na ten temat wprost do „Kultury"? Możemy się czasem nie zgadzać z tym pismem, ale nie byłoby fair z naszej strony drukować Pana polemikę, która utrzymana jest w tonie przedwojennych „czerwoniaków".

J. R. w Radomiu. Dlaczego zastrzega Pan, że podaję fikcyjne nazwisko? W naszej rubryce zachowujemy anonimowość. Nie zmienia to jednak faktu, że Pana wiersz nie nadaje się do druku.

R. Z. w Paryżu. Ucieszyło nas, że znalazł Pan „Kamenę" w jednej z bibliotek paryskich. Na Pana wspomnienia chętnie reflektujemy, ale trudno nam z góry przesądzać, czy rzecz będzie się nadawała do druku.

K. K. w Rzeszowie. Nie mamy wielkiego wpływu na pracę „Ruchu" w Rzeszowie. Ma Pan jednak rację pisząc, że „Kamena", pismo czterech województw, a więc i rzeszowskiego, nie jest należycie eksponowana w kioskach.

„Bis" w Sandomierzu. Anonimów w zasadzie nie drukujemy. Jeśli ma Pan rację, skąd ta obawa przed ujawnieniem nazwiska?

B. R. w Bytomiu, J. J. w Kazimierzu, Z. K. w Olsztynie, M. D. w Chorzowie, B. L. w Białymstoku, A. Z. w Koszalinie. Nie skorzystamy.

W obronie czci Józefa Czechowicza

(Dokończenie ze str. 8)

Grajewskiego Gracjanem Walewskim itd. Wtedy można napisać, że Czesław Józefowicz był od urodzenia do śmierci osobnikiem infantylnym, miał takie czy inne skłonności, że przeżywał rozmaite przejścia czy przypadki.

Ale o Józefie Czechowiczu trzeba napisać, między innymi, że mógł być dziecięco pogodny, że zachował młodzieńczy, może nawet łobuzerski stosunek do swoich bliskich i przyjaciół, że przepadanie za słodyczami podobnie jak owa pogoda dziecięca i młodzieńczość, absolutnie nie były przejawem infantylizmu. Czechowicz w bibliotece studiował język, słowniki języka polskiego, słownik wyrazów obcych, encyklopedie. Te studia widać w jego utworach. Znajomość języka ojczystego była mu potrzebna nie tylko do uwartościowienia własnej twórczości literackiej, ale także do studiów nad gwarą apaszowską lubelskiej młodzieży ulicznej. Stare powiedzenie jednego nie małego poety niemieckiego stało się przysłowiem:

Kto poetę sam chce poznać,
musi tego, co on doznać.
(Wer den Dichter will verstehen...).

Zdaje mi się, że autor biograficznej powieści o Józefie Czechowiczu, ktokolwiek by nim był, nie zadowalając się własnymi przeżyciami i nie wierząc własnej pamięci, dobrze dla podniesienia wartości swojego utworu zrobi, idąc — przed pisaniem — tą samą drogą zamiłowań (choćby Stare Miasto w Lublinie i plastyka) i studiów (język polski, pedagogika specjalna, księgoznawstwo, jaką pokonał w swoim krótkim życiu Józef Czechowicz.

Stefan Wojciechowski

od BIEBRZY po BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

◆ W czasie Dni Oświaty województwo otrzymało między innymi 17 nowych klubów prasy i książki „Ruch", powiatowe sceny amatorskie w Siemiatyczach i Hajnówce oraz 5 czytelni.

◆ W Suwałkach przy klubie „Suwalszczyzna" powstał 15-osobowy zespół wokalno-muzyczny. Kieruje nim zasłużona dyrektorka Społecznego Ogniska Muzycznego Janina Kraśko.

◆ Białostockie „Społem" wspólnie z Orkiestrą Symfoniczną zorganizowało cykl 7 koncertów popularno-rozrywkowych w miastach powiatowych. Sukces był duży i cykl ma być powtórzony w drugiej połowie maja.

◆ Państwowa Szkoła Muzyczna w Białymstoku ukończyła 30 lat i swój jubileusz uczciła pięknym koncertem. W szkole prowadzi się jedenaście kierunków nauczania. Założycielkami tej pożytecznej placówki były siostry Helena, Jadwiga i Zofia Frankiewicz, które pracują w niej do dzisiaj.

◆ Ukazał się informator turystyczny „Okolice Białegostoku", opracowany przez mgr Piotra Wróblewskiego, a wydany przez WKKFiT.

KIELCE

◆ Władze miejskie Kielc rozpisały konkurs na projekt Pomnika Bohaterów Ziemi Kieleckiej, który ma stanąć w rejonie WDK.

◆ Teatrzyk Dziennikarza wystąpił z nową premierą: „Dallas w samo południe". Chodzi o zabójstwo prez. Kennedy'ego. Reżyseria R. Smożewski, scenografia P. Wollenberg.

W Starachowicach nareszcie połączono dwie działające dotychczas oddzielnie poradnie amatorskiego ruchu artystycznego — przy Prez. MRN i FSC. Połączonymi siłami na pewno można zdziałać więcej.

◆ A jednak są ludzie bezinteresowni i wspaniałomyślni. Mieszkaniec Warszawy, Tadeusz Wierzejski, podarował Muzeum Świętokrzyskiemu majolikowy wazon wenecki z XVI wieku. Już poprzednio p. Wierzejski przekazał cenną akwarelę Podkowińskiego.

◆ Do Festiwalu Kulturalnego Związków Zawodowych zgłoszono z całego województwa 272 zespoły. Najwięcej instrumentalnych — 67, następnie estradowych — 52.

LUBLIN

◆ 28 kwietnia zmarł w wieku 85 lat artysta-malarz Stefan Dylewski. Przez 34 lata pracował w szkolnictwie, poświęcając się szczególnie kaligrafii i na ten temat wydał kilka podręczników. Społecznie pracował również w zespołach muzycznych. W 1962 r. otrzymał nagrodę Prezydium WRN w dziedzinie malarstwa.

◆ Kwartalnik „Bibliotekarz Lubelski" ukończył 10 lat. Wydaje go Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. H. Łopacińskiego.

◆ 27 kwietnia odbyła się w Lublinie wojewódzka narada pracowników społecznych, działających w przyszkolnych ośrodkach pracy kulturalno-oświatowej. Omówiono kierunki i formy działania na najbliższą przyszłość. 506 osób otrzymało dyplomy uznania i nagrody.

◆ Po dłuższym okresie milczenia z pięknym koncertem wystąpił kwintet kameralny pracowników Filharmonii Lubelskiej.

◆ Pro domo sua. Sekretarz redakcji „Kameny", Jerzy Dostatni, z okazji 1 Maja otrzymał premię Zarządu Głównego RSW PRASA za 20 lat pracy w prasie Polski Ludowej. W kwietniu red. Dostatni otrzymał II nagrodę Klubu Dziennikarzy SDP za publikacje z zakresu budownictwa, urbanistyki i architektury, a w lutym II nagrodę w konkursie, związanym z V Kongresem Techniki.

RZESZÓW

◆ W Kurytybie zmarł 64-letni Wojciech Byczek-Rzeowicz, wybitny działacz polonijny, urodzony w Osobnicy pow. Jasło. Był dziennikarzem i literatem. W 1956 roku Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza wydała tom jego prozy i poezji, a w 1961 roku Wydawnictwo „Polonia" książkę „Śladami Piasta pod Pieniorami", zarys dziejów polskiej emigracji.

◆ Zespół ludowy z Krzemienicy nareszcie odżył wystawiając barwne weselе ludowe w miejscowym domu kultury. Napływają już zamówienia na występy z innych miejscowości.

◆ Nie szczędząc trudu Państwowa Orkiestra Symfoniczna w Rzeszowie przygotowała „Halkę" St. Moniuszki z udziałem solistów z oper warszawskiej, krakowskiej i śląskiej oraz miejscowego chóru „Orfeusz".

◆ Wyższa Szkoła Pedagogiczna, Stow. Ateistów i Wolnomyślicieli oraz Okręgowy Ośrodek Metodyczny zorganizowały w dniach 13—14 kwietnia sesję popularnonaukową na temat „Rola literatury i sztuki w łamaniu wychowaniu młodzieży".

◆ Po okresie niepewności zapadła ostateczna decyzja o kontynuowaniu budowy sali koncertowej w Rzeszowie.

◆ Prezydium PAN w Krakowie powołało do Komisji Nauk Historycznych dwóch historyków rzeszowskich: doc. Franciszka Kotulę i dr Aleksandra Codelli. Winszujemy!

książki•książki•książki

Polska północ

EDWARD Martuszewski, Lubliniak z pochodzenia (urodził się pod Puławami) od 1952 r. mieszka na Mazurach. Jest on zasadniczo romanistą, autorem studiów i przekładów z literatury hiszpańskiej, od lat jednakże pasjonuje go przeszłość Warmii i Mazur. Dotychczas prace z tej dziedziny publikował wyłącznie w czasopismach. Dlatego też książkę jego o tematyce mazurskiej *) traktować trzeba nie jak debiut, ale jak zebranie w całość rozproszonych szkiców i przyczynków powstałych w ciągu lat kilkunastu.

Historia Warmii i Mazur, dawnych Prus, pełna jest tragicznych paradoksów. Bratni kraj słowiańsko-bałtycki, z którego mieszkańcami Piastowie nie potrafili jakoś znaleźć wspólnego języka, został przecież przez polskie książątko — niefortunnego Konrada Mazowieckiego — wydany na łup zbrodniczych mnichów z mieczami.

Poskromionego pod Grunwaldem Zakonu nie usunięto jednak z Prus. Nawet po drugiej zwycięskiej wojnie, po pokoju toruńskim, zmniejszono tylko państwo zakonne. Świętną okazję pozbycia się dokuczliwego „sąsiada" pominięto też w w. XVI, urządzając zamiast zwycięskiej wojny o Prusy operetkowy hołd, namalowany później jaskrawymi kolorami przez Matejkę. Błąd rodził błąd. W czasie wojen szwedzkich za wątpliwej wartości pomoc militarną dano książętom pruskim niezależność a w czasach saskiej nocy obojętnie patrzono na rodzenie się i powiększanie polskimi — śląskimi ziemiami królestwa Prus — przyszłego zaborcy.

Osobną od politycznej stroną historii tego regionu jest osadnictwo, od wieków w dużej części polskie. I to nie tylko na Warmii, polskiej przecież od połowy XVI wieku do 1 rozbioru, ale też na Mazurach (warto przeczytać, jak Martuszewski w swojej książce tłumaczy powstanie tej nazwy).

Kraj przyznany nie wiedzieć czemu Niemcom po I wojnie światowej przez zachodnich „sojuszników" (dobrodziejstwa pana Wilsona) odzyskaliśmy nareszcie. Odzyskaliśmy z resztkami polskiej ludności — z autochtonami, w postępowaniu z którymi nie ustrzegliśmy się w minionych latach błędów.

Martuszewski w swoich szkicach idzie śladami dawnej polskości mieszkańców Warmii i Mazur. Rozpoczyna — symbolicznie — historią kamienia na pobojowisku pod Grunwaldem. Kamień ten — wg tradycji Jagiellowej — przechrzczono dopiero w 1901 r. na „kamień wielkiego mistrza". W innych szkicach autor doszukuje się swoich przodków. Pisze o polskich podróżnikach i dziennikarzach, którzy w XIX w. (długie lata przed Wańkowiczem) „odkrywali" polskość Warmii i Mazur. Dyliżansem jeździł przez Mazury Niemcewicz, na rowerze (czyli jak wówczas pisano na kołach) przemierzali je warszawscy dziennikarze drugiej połowy XIX w., nie mogąc się nadziwić, że w państwie pruskiego zaborcy można się z ludem dogadać po polsku.

W dawniejsze jeszcze, siedemnastowieczne czasy sięga w swej książce Martuszewski pisząc o związkach (przynajmniej rodzinnych) ostatnich Piastów Śląskich z władcami Prus i o polskich arianach, którzy wygnani z kraju na Mazurach znaleźli przytułek. Wśród „wygnanych i zapomnianych", którzy przez wiele lat zachowali swoją polskość, doszukuje się Martuszewski nie byle kogo bo Zbigniewa Morsztyna — świetnego barokowego poetę z rodziny, która wydała kilku twórców.

Osobny wątek książki Martuszewskiego to studia o wielkich Mazurach takich jak Gizewiusz, Mrongowiusz, Giersz czy też Kętrzyński, który jak wiadomo z Adalberta von Winkler już jako dorosły człowiek stał się ponownie Wojciechem Kętrzyńskim.

Ostatni człon omawianej pozycji to reportaże: autor opisuje aktualny stan regionu, którego przeszłością zajmował się w innych częściach swojej książki.

„Nawet kamień" to pozycja, którą koniecznie trzeba przeczytać. Książka odznacza się wielkim bogactwem materiału dokumentarnego, zebranego dociekliwie, zestawionego ciekawie i bezstronnie.

Piśmiennictwo o Warmii i Mazurach zyskało nową, cenną pozycję. Książek tego typu potrzeba wiele, a jest ich niestety ciągle zbyt mało.

Bohdan Królikowski

*) Edward Martuszewski: Nawet kamień. Wydawnictwo Łódzkie 1963.

Album zdjęć rodzinnych

W DOROBKU twórczym Jana Marii Gisgesa przeważa jak dotąd poezja i dramat. „Osty" to dopiero trzecia pozycja w twórczości Gisgesa — prozaika. Jest to powieść współczesna, zawierająca jak większość książek z tego gatunku znaczny ładunek elementów już dziś historycznych.

Gdyby typowa polska powieść współczesna mogła rodzić się w czarodziejskim tyglu (jak postacie w „Kordianowym" Prologu) recepta na nią brzmiałaby mniej więcej tak: szarą polewkę codzienności zaprawić „barwami walki", podlać sosem erotycznym, poświecić „łunami w Bieszczadach"; naboje z pistoletu maszynowego pomieszać z kosmetykami, dosypać zdjęć mężczyzn w mundurach i kobiet bez... mundurów, z podręcznika psychoanalizy wyrwać kilka kart, przed użyciem wstrząsnąć.

Jak zwykle w złośliwości jest i tu trochę przesady, ale chyba nie tak znowu wiele. Czy bowiem jest dziś współczesna powieść polska wolna od tych elementów? Jeżeli nawet jest, to przecież wyjątki są tylko po to, żeby potwierdzać regułę. A regułą jest w tym wypadku spojrzenie na teraźniejszość przez pryzmat lat minionych. Rzecz inna, czy tendencję tę można nazwać wadliwą? Na pewno nie, jeżeli tylko nie jest przesadna. (Mówiąc nawiasem i prywatnie: bardzo lubię, kiedy ni z tego ni z owego ze współczesnej powieści wyskoczy nagle osobnik z empi i pociągnie nielichą serią po feldgrauach).

W „Ostach" tendencja ta dochodzi do głosu, jednakże w sposób raczej oszczędny.

Gisges pokazał w swojej powieści życie małej osady w okolicach Słupska, w kilkanaście lat po wojnie, w każdym razie już po 1956 r. Bohaterami powieści są: działacz społeczny, który próbuje ulepszać świat, za co dostaje order i kulę zza drzewka w lesie (na szczęście chybioną), który jednocześnie ma chrapkę na swoją sekretarkę, ale nagle w zaplanowanej przez niego roli występuje jego własny syn. Inni bohaterowie to rozpity nauczyciel, dawny obrońca Modliną, żerujący na uczuciach otoczenia strzępami swego munduru, to leśniczy, który okazuje się nagle banderowcem, no i wreszcie paru lokalnych kanciarzy. Ponieważ bohater Nr 1 to jednocześnie były myśliwy na Niemców z lasów kieleckich, stąd też o pretekst do wycieczki w przeszłość nietrudno.

„Osty" zatem to album zdjęć rodzinnych, ale taki trochę nieuporządkowany, bo nagle po zdjęciu wujka z brzuszkiem i łysiną widzimy tego samego wujka w mundurze wciętym w talii i z żabójczymi wąsikami. Gisges w swojej powieści niekiedy zbyt nagle przechodzi od codzienności do „barw walki" czy „łun w Bieszczadach", ale jeżeli ktoś wolno czyta a szybko myśli będzie miał satysfakcję.

Swoją drogą wydaje się, że fragmenty przeszłości udają się autorowi lepiej niż teraźniejszość. Może to zapowiedź nowej, ciekawej powieści o tematyce sprzed lat dwudziestu paru?

B. K.

Jan Maria Gisges: Osty (powieść współczesna). Lud. Spółdz. Wydawnicza 1966 r.

KSIĄŻKI NADESŁANE

„Czytelnik"

Jerzy Andrzejewski — Popiół i diament, Warszawa 1966, wydanie IV;

Eliza Orzeszkowa — Dobra Pani, ABC, Warszawa 1965, wydanie VI;

Adam Mickiewicz — Grażyna, powieść litewska, Warszawa 1965, wydanie I;

Zbigniew Załucki — Siedem Polskich Grzechów Głównych, Warszawa 1966, wydanie III;

Antoni Czechow — Wybór opowiadań — wybrał i wstępem opatrzył Jarosław Iwaszkiewicz, Warszawa 1965, wydanie I;

John Steinbeck — Kasztanek, Perła, tłumaczyli: Jan Zakrzewski i Juliusz Kydryński, Warszawa 1965, wydanie I;

Jerzy Lovell — Nieproszony przyjdzie jutro, Czytelnik, Warszawa 1966, wydanie I;

Zdzisław Libera — Konrad Wallenrod Adama Mickiewicza, Warszawa 1966, wydanie I;

Kornel Filipowicz — Ulica Gołębia, Czytelnik 1966, wydanie II;

Bogdan Wojdowski — Konotop, Czytelnik, Warszawa 1966, wydanie I;

Franciszek Skibiński — Pierwsza Pancerna, Czytelnik, Warszawa 1966;

Wadim Andriejew — Dzieciństwo, tłumaczyła Zofia Korczak-Zawadzka, Czytelnik, Warszawa 1966, wydanie I;

Marian Bekajło, Bronisław Wiernik — Kto zabił Szańca?, Czytelnik, Warszawa 1966, wydanie I.

Konfrontacje małych form

(Dokończenie ze str. 10)

niepospolitego umysłu a zarazem kobiety bardzo zwyczajnie i po ludzku spragnionej uczucia, potrzebującej miłości, szukającej przyjaźni. Autorka nadała swej bohaterce wielki ładunek ciepła, serdeczności, demonstrując bardzo interesujący warsztat twórczy.

Udział szczecińskich scen eksperymentalnych, Teatru „Trzynastu Muz" i Teatrzyku „Krypta", zaznaczył się trzema programami. Pierwszy z teatrów przedstawił sztukę Albee'go „Amerykański ideał" i adaptację sceniczną „Tabu" Jacka Bocheńskiego, obie pozycje w reżyserii Janusza Marca z ciekawą kreacją aktorską Ludmiły Legut. Teatrzyk „Krypta" wystąpił z przedstawieniem adaptacji opowiadania Kazimierza Brandysa „Bardzo starzy oboje", opracowanej i reżyserowanej przez Bogdana Gierszanina.

Zupełnym nieporozumieniem okazał się występ Estrady Poznańskiej z programem „Balladowe spotkanie u profesora Tutki". Tekst wybitnego pisarza otrzymał przekaz aktorski tak zubożający jego literacką urodę, że chwilami niemal z zażenowaniem odbierało się rzecz, która pod pozorami nowoczesności kryła zupełną pustkę inscenizacyjną.

Przegląd szczeciński stał się więc okazją konfrontacji, wymiany poglądów, miejscem dyskusji i polemik. Podkreślano celność tej inicjatywy by znaleźć płaszczyznę służącą wymianie doświadczeń, umożliwiającą zetknięcie się zespołów pracujących w różnych ośrodkach, rozproszonych po całym kraju.

Wiesław Głowacz

Konkurs o laur im. J. Czechowicza

Organizatorami konkursu są: Wydział Kultury PMRN, Wydawnictwo Lubelskie i Lubelski Klub Literacki. Uczestnikiem może być każdy mieszkaniec czterech województw objętych umową o współpracy kulturalnej (białostockiego, rzeszowskiego, kieleckiego, lubelskiego).

Konkurs obejmuje poezję i prozę (każdy autor ma prawo składania prac w obydwu działach).

W dziale poezji każdy uczestnik może nadesłać dowolną liczbę zestawów wierszy po trzy wiersze w zestawie.

W dziale prozy można również nadesłać dowolną liczbę prac. Objętość opowiadania nie może przekraczać 30 stron maszynopisu znormalizowanego z podwójną interlinią (31 wierszy po 68 znaków).

Prace nadesłane na Konkurs nie mogą być uprzednio nigdzie publikowane.

Utwory opatrzone godłem należy nadsyłać w trzech egzemplarzach maszynopisu z dołączoną kopertą (z tym samym godłem) zawierającą imię i nazwisko oraz adres autora.

Przewiduje się następujące nagrody:

w dziale poezji:

I — 3.000 zł
II — 2.000 zł
III — 1.000 zł

w dziale prozy:

I — 3.000 zł
II — 2.000 zł
III — 1.000 zł

oraz wyróżnienia. Skład jury zostanie podany w późniejszym terminie.

Termin nadsyłania prac upływa z dniem 31.VII.1966 r. Decyduje data stempla pocztowego. Prace należy nadsyłać na adres: Prezydium Miejskiej Rady Narodowej, Wydział Kultury, Lublin — Zamek.

Rozstrzygnięcie Konkursu nastąpi w rocznicę tragicznej śmierci Józefa Czechowicza — 9.IX. br.

Organizatorzy zastrzegają sobie pierwszeństwo druku prac nagrodzonych i wyróżnionych. Zastrzega się też możliwość innego podziału nagród.

Wszelkich informacji na temat konkursu udziela Wydział Kultury, Lublin — Zamek, tel. 245-47 Sekretariat Konkursu.

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje Kolegium: Konrad Bielski, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski.

Przedstawiciele redakcji: BIAŁYSTOK — Stanisław Świerad („Gazeta Białostocka"), ul. Wesołowskiego 1, tel. 37-41, KIELCE — Tadeusz Bartosz („Słowo Ludu"), Plac Obrońców Stalingradu 2, tel. 82-26, RZESZÓW — Jan Grygiel („Nowiny Rzeszowskie"), ul. Żeromskiego 5, tel. 20-51.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i Ruch. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji:
Lublin, ul. Graniczna 7
tel. 234-49

Zam. 1603 29 IV 66 L-6

Z ŻYCIA WZIĘTE

Marże i żołądek

AUTOR tej rubryki, felietonista BAR, tym razem prosił o zastępstwo. Ciągnęliśmy losy w redakcji — wypadło na mnie. Wcale nie jestem tym zachwycony, bo pierwsze dni prawdziwej wiosny nie zachęcają do pisania. No i skąd tak nagle znaleźć odpowiedni temat, gdy się nie jest Hamiltonem, Szelągiem, Toeplitzem czy chociażby kamenowym Jackiem? Dobrymi chęciami tylko piekło wybrukowano...

Aha piekło! Niekiedy wieczorem obserwuję dantejskie sceny przed lubelską „Europą". Jest to jedyny lokal czynny do godziny trzeciej nad ranem. I jedyny oznakowany literą „S". Ostatnio ta literka patronuje mu już nieustannie. Eksperyment z czasowym przekształceniem „Europy" (do godz. 21) na lokal kategorii I spalił ponoć na panewce. Restauracja przynosiła deficyt. (?)

Nie znam gastronomicznych obliczeń, nie znam się na marżach, procentach. Ani ja, ani dziesiątki, setki, a może i tysiące obywateli Lublina, którzy od czasu do czasu wdepną tu na obiad. Zastanawiam się jednak, kogo stać na płacenie za drugie danie 25—45 złotych. Ktoś powie, że są i tańsze. Owszem, ale zwykle kończą się o godzinie 16.

Rzecz nie tylko w cenie. Klient nasz pan — brzmi dewiza handlu i gastronomii. W lokalu kategorii „S" ta dewiza powinna świecić jaskrawym blaskiem. Powinna... Sami kelnerzy w prywatnej rozmowie nie szczędzą krytycznych uwag pod adresem podawanych potraw. „Panie, to jest sos... A jadł pan kiedyś, piętnaście lat temu, obiadek w „Ludowej" na Wieniawskiej?" Albo: „Co by tu panu polecić... Wołowina dzisiaj twarda... Zaraz, powiem kucharzowi, żeby specjalnie dla pana coś przyrządził". W lokalu kategorii „S" są więc zwykli i specjalni klienci. Płacą tyle samo. I są niewychowani. Nie dosyć, że lepiej zjedzą niż inni, jeszcze wybrzydzają na łamach...

Słyszy się głosy: nie ma dobrych kucharzy. Ci, którzy byli, odchodzą na emeryturę. Do stu tysięcy kartaczy, co to obchodzi mnie, ciebie, jego? Podobno nigdzie nie ma ludzi niezastąpionych. Gastronomia stanowi wyjątek?

Lublin słynął kiedyś z dobrej kuchni. Dziś z nabożeństwem wymienia się nazwiska tych mistrzów sztuki kulinarnej, którzy nie pozostawili następców. Ba — sytuacja stale się pogarsza. (Mogę to powiedzieć z największym przekonaniem, bo przed kilkunastoma miesiącami w lubelskim radiu starałem się bronić gastronomii). Potrawy drożeją (poprzez znany system kosztowniejszych dodatków do dań mięsnych) i spożywa się je z coraz mniejszym apetytem.

Poniedziałek jest dniem bezmięsnym. Co o godzinie szesnastej oferuje lokal I kategorii — „Polonia"? Posłuchajmy: trzy gatunki jaj, omplet, bukiet z jarzyn, ryż ze śmietaną, wątróbka, indyk. Były jeszcze pyzy i placki ziemniaczane. Podobno przez godzinę. Rzeczywiście trzeba podziwiać szefa kuchni „Polonii", p. E. Jaroszewskiego, za tak obfity wybór. A może by tak dyrektor Lubelskich Zakładów Gastronomicznych Stare Miasto dał p. Jaroszewskiemu delegację do Rzeszowa? Niechby obejrzał spis potraw, jaki w poniedziałek ma do zaproponowania klientom „Śródmiejska", lokal kategorii II? Ale Rzeszowianie i na „Śródmiejską" narzekają, chociaż z zupełnie inaych przyczyn.

W lubelskich restauracjach wypowiedziano świętą walkę potrawom mlecznym. Gdy poprosisz o śmietanę czy kefir patrzą na ciebie, jak na przybysza z obcej planety. „Panie, idź pan do baru mlecznego". Poszedłem, ale strasznie nie lubię kolejek.

Ale kolejki są i w zakładach gastronomicznych. W „Wiśle" trzeba w tzw. godzinach szczytu czekać do 15 minut na wolne miejsce, później drugie piętnaście — na kelnerkę. W sumie zjedzenie obiadu pochłania do godziny czasu.

Tłok w restauracjach najlepiej rozładowują bary szybkiej obsługi. W Lublinie jest jeden — „Centralny". Byłem tam raz, więcej nie pójdę. Nie mam czasu stać w kolejce do lekarza.

Stale zapchane lokale gastronomiczne rozbrajają dyrekcję ŁZG, kierowników poszczególnych zakładów, personel. Po co się wysilać, ludzie wszystko zjedzą, jeszcze będą zadowoleni, że udało im się znaleźć wolne miejsce. Nie ma żadnej zdrowej konkurencji, nie ma żadnych pomysłów. Schabaszczak, bryzol, kiełbasa panują niepodzielnie.

Co mają robić ludzie chorzy na żołądek? Nie spotkałem, aby któraś restauracja prowadziła oddzielną kuchnię dla ludzi cierpiących na nadkwasotę czy niedokwasność. A w Białymstoku niemal w każdym lokalu są specjalne dania dla żołądkowców. Dyrektor Koleśnikow może pojechać i przekonać się naocznie. Będzie jeszcze jeden przykład (jeśli w Lublinie nastąpi poprawa) korzyści wypływającej z „Unii Czterech".

A co ma robić obywatel, który zapragnie zjeść normalną kolację po godzinie 22? Jeśli uda mu się znaleźć wolne miejsce, będzie musiał zapłacić za tzw. działalność rozrywkową. Bez haraczu — musi kłaść się spać z głodnym żołądkiem. Lublin jest miastem, który przekroczył 200 000 mieszkańców, nie wszyscy ludzie pracują standardowo od godziny siódmej do piętnastej. Gastronomię to już jednak zupełnie nie obchodzi...

W dyrekcji ŁZG różni spece znajdą dziesiątki argumentów, udowadniając, że nie jest tak źle i że trudności są natury obiektywnej. Może zwołają jeszcze jedną naradę czy konferencję prasową. Słowo daję, że nie pójdę. Polak głodny, Polak skazany na podłą kuchnię, musi być zły.

Jestem cholernie zły. A piszę ten felieton po obiedzie w „Nadbystrzyckiej". Ta lura śmiała się nazywać żurkiem?

MAJ

Komu 10 deka Szczepanika?

Rys. W. Fuglewicz

WOKALISTYKA coraz bardziej schodzi w podziemia. Po różnych piwnicach przyszła kolej na autentyczną kopalnię. Finał ogólnopolskiego festiwalu wokalnego pracowników przemysłu chemicznego odbędzie się bowiem w Wieliczce 125 m pod powierzchnią ziemi. No a co wymyślą górnicy?

W PARKU kieleckim Jan K. bez powodu pobił Krzysztofa L. Przed sądem prokurator żądał wymierzenia napastnikowi kary półtora roku więzienia. Obrońca natomiast grzmiał: Jan K. jest bramkarzem miejscowej drużyny piłkarskiej i jeżeli pójdzie do więzienia drużyna może stracić tyle bramek na boisku, że spadnie z ligi... Widocznie jednak w składzie sądu nie było zaślepionych kibiców, bo chuligan został skazany na rok więzienia. A jeżeli w więzieniu jest także drużyna piłkarska i za rok dyrektor więzienia zastosuje taką samą argumentację?

„OWSZEM. Żeby go w dupę pocałowali ci co go szukają"... — zaczyna się arcywytworną propozycją odcinek 89 powieści Andrzeja Przypkowskiego w „Sztandarze Ludu" z 18 kwietnia. Całe szczęście, że propozycje nie są karalne.

HANDEL powoli zarzuca oznaczanie sklepów numerami, nadając im co bardziej atrakcyjne nazwy. Czasem jednak dochodzi do konfliktów. We Wrocławiu otwierano sklep z bielizną damską. Otrzymał nazwę raczej nieadekwatną — „Żeglarz". Po prostu nazwę „Majtek" uznano za nie licującą z powagą uspołecznionego przedsiębiorstwa.

A JEDNAK warto się kłócić. Mieszkanka wsi Leszczawa Dolna pod Przemyślem przed 6 laty straciła mowę, a teraz w czasie gwałtownej sprzeczki z siostrą nagle ją odzyskała. Gdyby tak w wyniku polemik na papierze ludzie zyskiwali biegłość władania piórem...

JAK NIE POTRAFISZ nie wchodź na afisz" — oburza się wierszem (lem) w „Kurierze Lubelskim" z dnia 21 kwietnia, pisząc o nieudanym festiwalu nastolatków w Chełmie. A w środku tekstu coś takiego: „Naprawiając to kolejne vopas organizatorów"... Dopiero po dłuższych badaniach odszyfrowaliśmy, że chodzi o francuskie „faux pas". Lem też popełnił „vopas"!.

PROF. JANOWI KOTTOWI szykują się znów dwie długie podróże zagraniczne. Jego znakomite „Szkice o Szekspirze" ukażą się w Portugalii i w Japonii. Może w Tokio będzie mógł po raz drugi gwizdnąć na teatralnej widowni, gdy pojawą się emerytowane gejsze?

WYSOKO cenimy felietony Jana Szeląga w „Kulturze". Ale jeżeli w jednym tylko (nr 16 z 17 kwietnia) czytamy taką spowiedź: „Jacyś ponoć laureaci Nobla"..., „Nie wiem, jak było na obradach"..., „Nie potrafię na to pytanie odpowiedzieć"..., „Chociaż bo ja wiem" — to w rezultacie można się zapytać, dlaczego cały ten felieton został napisany? Wiem — że nic nie wiem? Już to wymyślił kto inny. Tym wszystkim zaraził się także Bohdan Tomaszewski, który w felietonie tuż obok też wyznał: „Nie wiem, nie znam się na tym". A jednak napisał na ten temat 165 wierszy druku — i to na interlinię.

„NA TO PYTANIE warto by odpowiedź dać w łunników erze: do czego będą wyły psy ,gdy się na Księżyc je zabierze" — pyta Z. Zborowski w jednej z fraszek, zamieszczonych w „Gazecie Białostockiej" z dnia 23—24 kwietnia. Hm — chyba do Ziemi. Z radości, że ją opuściły, bo przed rokiem czytało się tę samą fraszkę, tego samego autora, w tej samej gazecie, na tej samej, ostatniej stronie!

(d)

MINUTA MYŚLENIA

Pod dywanem

JEST sekretem poliszynela, że w pewnej lubelskiej instytucji artystycznej znowu rozpoczął się podskórny proces najmniej mający wspólnego z fermentem intelektualnym, najwięcej z bełtem poruszającym denny narzut. W tej instytucji jest to aż prawidłowością: jeśli przez pewien czas daje się zauważyć względny spokój i jakie takie działanie na rzecz zasadniczego, a w dodatku wspólnego celu, bądź — publiczności — przekonana, że wkrótce dojdzie cię tłumiony oddech walczących, zachowujących na zewnątrz pozory koleżeńskiego zjazdu. Odkorkowują szampana, by tym skuteczniej zamaskować odgłos pistoletu z tłumikiem.

Mówi się: parafiańszczyzna, prowincjonalizm. Ha, większości ujemnych zjawisk w życiu zbiorowym i atmosferze społecznej patronuje metropolia a nie Kłaj. Sympatyczny sołtys z Chłapkowic prezentuje metody do uczciwości proste, choćby nawet służyły celom wynikłym z nieświadomości, natomiast stan pewnego skomplikowania typowy dla środowisk wielkomiejskich jest zbliżony do owej mętnej wody, w której sprycjarze łapią ryby.

Zresztą ciemnogród nie jest pojęciem geograficznym. Nie darmo Chryzostom Bulwieć Galczyńskiego bezskutecznie zasięgał opinii w „Orbisie" i szukał w atlasach świata. Ciemnogród jest pojęciem intelektualnym, którego desygnaty rozłożone są niezależnie od układu południków i równoleżników, a także sieci ulic.

Widzenie nie sięgające za własny pępek, perspektywa równa spojrzeniu kury o zmierzchu, rozwiązywanie problemów przez wzajemne klepanie się po plecach, nasłuch na odgłosy tapczanu czy sprężynowego łóżka — oto zasadnicze elementy ciemnogrodzkiego pejzażu społecznego, oto w dodatku czynniki powodzenia w tym środowisku. Uznasz, że Lehar, Strauss, Kalman z tymi wszystkim, co człowiekowi niesie rozchmurzenie czoła, powinno skupiać większą uwagę, aniżeli gra kwalifikowanych ugrupowań wewnątrz zespołu? Co za naiwność! Przepadniesz razem ze swoją prostotą, jak misjonarz wśród ludożerców.

Niespodziewany i z ukrycia kopniak, „niewinne" słówko rzucone w porę, podłożenie wreszcie tzw. „świni", tymi środkami walczy się w instytucji wymienionej na wstępie. Kumoterstwo, klikowość. Czy sądzicie, że są to zjawiska przynależne wyłącznie gminnym spółdzielniom i to tylko w „okresie minionym"? Jak tam i wtedy, tylko w łudzącej oprawie wstążek, gitar, wachlarzy odbywa się ta cicha, „serdeczna" walka o władzę, rolę, pieniądz. Doprawdy nie ma innego sposobu, jak tylko zastosować rozwiązanie, które satyrycznie — to samo zjawisko widząc — zaproponował w wymienionym już „Chryzostomie Bulwieciu" Galczyński: wszystkim dać rolę Hamleta.

„Na diabła Greban
z tą Ofeliją!
Chcą grać chłopaki,
niech się wyżyją,

W ten sposób szlagier!
pierwszy raz w świecie!
grali w „Hamlecie"
sami Hamleci.

Ręka na sercu,
Twarze ponure,
„Być albo nie być"
wołali chórem.

Zachodzi tylko pytanie: czy w instytucji owej nie zdają sobie sprawy, że nie wszystko da się ukryć za kulisami? I że to, co się znajduje za nimi, w sensie dosłownym jest mniej kompromitujące, niż w przenośnym? Kierownictwo lubi postępować jak pewna sprzątaczka, która zamiatała śmieci pod dywan zapominając, że dywan nabierze wybrzuszenia nieomylnie każącego domyślić się swej zawartości. I że w końcu zajdzie potrzeba oddzielenia dywanu od śmieci. A także sprzątaczki od sprzątania.

Ijon

BIG-BEAT

Burza w szklance wody

PANIE Redaktorze! Przedmaturalny okres nie pozostawia wiele czasu na lekturę czasopism. Z niektórymi artykułami szczegółowiej zapoznaję się dopiero wówczas, kiedy tworzy się wokół nich tzw. huczek. Ze sprawą głośnego już dziś „Koncertu na trąbkę" Jerzego Lovella („Kultura", nr 12) zetknąłem się od końca — po uprzednim zaznajomieniu się z poglądami jego zwolenników i adwersarzy. A wszystko to wygląda na burzę w szklance wody. Odnoszę wrażenie, że bujda jest gadanie o braku papieru. My tego papieru musimy mieć po dziurki w nosie, jeśli nie szkoda nam go zużywać na zrzędzenie dziadka.

Nie wiem, ile lat liczy pan Lovell, ale z tonu jego artykułu wnioskuję, że powinien już mieć wnuka. Zresztą, gdyby był nieco młodszy, nie spędzałby samotnie Nocy Sylwestrowej i nie przelewał żółci na papier. Nie by mnie to nie obchodziło, gdyby czynił to na swój prywatny użytek. Pan Lovell uważał jednak za stosowne, a „Kultura" mu w tym pomogła, podzielić się swoimi uwagami z szerszym kręgiem społeczeństwa. Rzecz wyszła więc poza cztery ściany domku przy ulicy Krupniczej.

Jak więc było owego Sylwestra? Pan Lovell siedzi w swoim pokoju. Niebo przecinają błyski. „Czerwone berety" z fantazją witają 1966 rok. Ulicą (tu pan Lovel wychyla się przez okno) kroczy pijaniuteńki chłopak (proszę zwrócić uwagę: chłopak, liczba pojedyncza). Młodzieniec coś mruczy pod nosem, wreszcie wyciąga trąbkę i głośno na niej gra fałszując przy tym niemiłosiernie (ponownie proszę o uwagę: chłopiec wyciąga trąbkę!) Pan Lovell zamiast zamknąć okno, nastawić na cały regulator adapter z płytą Bacha czy Chopina, zagłębić się w lekturze (jawiem, może w Kraszewskim?), ewentualnie kropnąć sobie kieliszek koniaku lub wermuthu, postanawia przelać swoje myśli na papier. No i pisze: „to jego parszywe pokolenie", „nie znają nic (ci młodzi), co prawdziwie ludzkie, męskie, a więc obciążone odpowiedzialnością; mięczacy zdolni do bicia w mordę tylko kupą, w gangu, hermafrodyci z babskimi grzywkami biteisów, bagienko prywatkowo-kawiarniane, półświatek półgłówków, którzy traktat filozoficzny i ideę społeczną zamienili na kiepskie solo na trąbce z towarzyszeniem perkusji". (Proszę, jakie to pedagogiczne!) Potem pan Lovell jeszcze trochę wymyśla temu „gówniarzowi" i „durniowi", który gra pod oknem, przy okazji obrywają i „Czerwone berety" (komandosi znów strzelają na wiwat). Może jeszcze ktoś dostałby się pod jego cięte pióro, ale, na szczęście, dzwoni telefon i jakiś równie jak pan Lovell samotny Tadeusz (żona w szpitalu) skarży się, że jego 16-letni syn poszedł na potańcówkę, diabli wiedzą dokąd, zapowiadając, że wróci o szóstej rano. Pan Lovell ma na to jedną radę: „Położyć się spać, a jak ten twój gitarzysta raczy wrócić, to wychlastać go, byle porządnie, od serca".

Nie wiem, może pan Lovell nie jest gościnny, to rzecz charakteru. Ja w jego sytuacji poprosiłbym tego samotnie spędzającego wieczór pana Tadeusza, aby wpadł do mnie. Moglibyśmy spędzić kilka uroczych godzin, podyskutować o „Popiołach", „Faraonie", o Wietnamie i problemie niemieckim, o „Tangu", o Wyszyńskim, o Wilsonie. Moglibyśmy wspólnie postawić pasjansa, zagrać w karioke, obejrzeć telewizję. Zapewniam, że nawet przez pięć minut nikt by się z **nas nie nudził** i nie zwracał uwagi na koncert zapijaczonego chłopaka! Ale pan Lovell powiedział do słuchawki „Cześć, dobbranoe" i znów zagłębił się w swoje rozważania. Teraz nasunął mu się nowy temat: **ów Tadeusz. Co on może robić?** „Krąży teraz po pustym mieszkaniu i usiłuje przekonać sam siebie, że wszystko w porządku, ponieważ jest jak jest i nic da się zmienić. A im dłużej krąży, tym częściej niesie go w stronę lodówki, gdzie stoi napoczęta przed dwoma tygodniami flaszka koniaku..." itd., itd. Ludzie, co mnie obchodzi jakiś tam Tadeusz? Mnie i tysiące czytelników „Kultury"?

Ale nie — trzeba za panem Lovellem przebrnąć ponad dwie obfite szpalty pisma, przeczytać usprawiedliwienie (do PT. Znajomków i Pociotków, do p. Zientarowej, do Opinii Publicznej) i wreszcie zatrzymać się przy „traktacie o grze na trąbce", czyli buntowaniu dorosłych. Pan Lovell pisze: „Nasze domy są pełne opętańczego wrzasku big-beatowego; tak to cywilizacja, szczególnie poprzez radio, adaptery oraz instrumenty w rodzaju gitar elektrycznych i trąbek — zwraca się przeciwko nam...",

Gdzie są te domy pełne opętańczego wrzasku big-beatowego? Idę czasami wieczorami główną ulicą Lublina. Z otwartych okien od czasu do czasu dojdzie do mych uszu głos lektora telewizyjnego, który tłumaczy dialogi filmowe. Niekiedy słyszę audycję radiową „Z kraju i ze świata", czasem głos Szczepanika, jakieś stare, sentymentalne tango. Big-beatu nie ma. A jeśliby był? Zrobiłaby się dziura w niebie czy co? Może ostatnie oberwanie chmury w Rzeszowskiem to też wina big-beatu?

Potem pan Lovell pisze tylko o nas, młodych. Ze nam przygotowują śniadanie, że nie wiadomo, co robimy między końcem lekcji a obiadem, (szkoda, że nie ma prywatnych detektywów), że trochę odrabiamy lekcje, ale zrzykamy z domu, kiedy zadzwoni telefon i ktoś nas wyciągnie. (Panie Lovell, w ilu mieszkaniach są telefony?) Wracamy najpóźniej o dwudziestej pierwszej.

A co robią rodzice? Przeszukują nasze kieszenie (ukradkiem, fe — nieładnie!) w nadziei, że znajdą jakiś ślad wewnętrznych przeżyć, choćby dzienniczek. Nic z tego.

A tymczasem redakcje dostają dziesiątki, setki, tysiące wierszy pisanych przez młodych i bardzo młodych. Redaktorzy pism skarżą się, że takiego zalewu grafomanii i półgrafomanii nie było jak świat światem. Czy pan Lovell tego nie wie? Zastępca redaktora naczelnego literackiego tygodnika? Kto pisze te mniej czy bardziej intymne utwory i utworki? Krasnoludki?

Następny traktat pan Lovell poświęca życiu rodzinnemu, (na ten temat niewiele mogę powiedzieć, niech nasze matki płoną oburzeniem) a w zakończeniu apeluje o stworzenie modelu pozytywnego. „Gdzie go szukać?... We wspomnieniu naszego własnego dzieciństwa... Gdzie jest miejsce i na trąbkę i na gitarę, ale we właściwych porporcjach i we właściwym czasie..."

Więc jak to? Najpierw jesteśmy parszywym pokoleniem, mięczakami zdolnymi do bicia w mordę tylko kupą, w gangu, a później usiłuje się nas wtłoczyć we wspomnienia czyjegoś dzieciństwa? To parszywe pokolenie zaparszywi wspomnienia!

Przeglądałem kiedyś pisma przedwojenne. Też utyskiwały na młodzież. Ze taka, że owaka, że co z niej wyrośnie. Wyrośli żołnierze Września, Dywizji Kościuszkowskiej, Brygady Maczka, partyzanci Lubelszczyzny, powstańcy Warszawy. Wyrośli — a brzmi to jak slogan — budowniczowie Ludowej Rzeczypospolitej. Ale wyrośli też bandyci z NSZ, niesławni bohaterowie afer skórzanych, mięsnych, agenci imperialistycznych wywiadów.

W połowie lat pięćdziesiątych utyskiwano znów na ZMP. Różni intelektualiści i pseudointelektualiści rozdzierali w kawiarniach szaty: co będzie z tej młodzieży żyjącej w ciągłym zakłamaniu? Już jest — zdolni naukowcy, inżynierowie, atomiści, poeci. Chuligani również.

A rzecz w tym, że nie można ani zatrzymać czasu, ani ładować wszystkiego do jednego worka. Kiedyś każda panna z tzw. dobrego domu musiała umieć grać na pianinie. Płakała, kiedy godzinami ćwiczyła, ale stała nad nią mama, nauczyciel, nie było odwołania. Dziś nad chłopcem z tzw. dobrego i tzw. złego domu nie stoi mama, nie stoi nauczyciel. Chłopiec nie gra na pianinie, ale na trąbce, gitarze. Gra sam, uczy się sam. Fałszuje, ale gra. Niech gra. Szkoda tylko, że te gitary są takie drogie.

A co wyrośnie z tego „parszywego pokolenia" przekona się pan Lovell, jeśli dożyje. Chyba nic się nie zmieni w porównaniu z latami poprzednimi. To tylko świat się zmienia. Wczorajszy subiekt ściera cesarstwa z mapy. Nawet jeśli kiedyś grał fałszywie na trąbce!

Pozdrawiam Pana Redaktora. Pana Lovella również.

Jacek

W następnym numerze:
PIŁKA NOŻNA
Listy Czytelników

Z cyklu: „Moje deklinacje"

Fatalny dzień żurnalisty

TEN fatalny dzień zaczął się jeszcze w nocy. Mianowicie: przez całą noc śniło mi się, że nie mogę zasnąć. I rano — obudziłem się niewyspany.

Była to okoliczność bardzo niefortunna, bowiem musiałem tego dnia wyjechać do miasteczka Z., gdzie miała się odbyć pewna niecodzienna uroczystość. A mianowicie: od wielu lat obywatele Z. domagali się, by i u nich odbyło się wreszcie jakieś otwarcie. W związku z tym burmistrz rok temu kazał zamknąć kino, którego uroczyste otwarcie dziś właśnie miało się dokonać.

Na dworzec poszedłem pieszo. I w naszym mieście bowiem nie brak inicjatywy.

Od dawna mieszkańcy naszego miasta narzekali na tłok w autobusach. Tego właśnie dnia rozładowano ów problem całkowicie: likwidując autobusy. Nie dość na tym: zdecydowano, że w podobny sposób usunie się kłopoty z operetką i dziennikarzami.

Ciesząc się zatem, że nie ma tłoku w autobusach i nie będzie w zawodzie, poszedłem na dworzec pieszo.

W pociągu jednak z trudem znalazłem miejsce. Było wprawdzie dziesięć wagonów, ale zrobiono to tak, że był wagon pierwszy, trzeci i dziesiąty. Inne, jak mi wyjaśniono, w pośpiechu ominięto (był to bowiem pociąg pośpieszny).

Wsiadłem do wagonu dziesiątego. Ale po chwili przyszedł konduktor i powiedział:

— Proszę wysiąść, bo ten wagon odczepiamy.

— Dlaczego? — zapytałem.

Niezwłocznie wyjaśnił:

— Odczepiamy ten wagon, bo to jest ostatni wagon, a ostatni wagon jest zawsze najbardziej narażony podczas jakiejś katastrofy.

— Ach tak — powiedziałem, z uznaniem dla tej troski. I przesiadłem się do wagonu trzeciego.

Ale po chwili przyszedł konduktor i powiedział, że odczepiają ten wagon, bo teraz on jest ostatni. Zawiłem z kolei w wagonie pierwszym, nawet dość wygodnie. Ale zaraz przyszedł konduktor i powiada:

— Proszę wysiąść, odczepiamy ten wagon, bo to jest ostatni wagon a ostatnie wagony są najbardziej narażone podczas jakiejś katastrofy.

— To jest jednak także pierwszy wagon — próbowałem protestować.

— Ale bardziej ostatni — odrzekł. I miał rację, bo kiedy odczepili ten wagon, to nie pozostało już nic, bowiem lokomotywy w ogóle nie było.

W tych warunkach musiałem się wyrzec reportażu z otwarcia w Z. Postanowiłem zatem uczestniczyć w pewnym uroczystym zamknięciu. Mianowicie: owego dnia miano zamykać prezesa spółdzielni „Wesołe Miasteczko". Jednakże impreza nie odbyła się z powodu braku prezesa. Podobno rano wsiadł na karuzelę i odjechał do innego miasta a może nawet uleciał w górę.

Wobec tego zdecydowałem się zajść do klubu „Pod Parnasem". Poprosiłem o szklankę wody, ale wody sodowej dawno zabrakło i była już tylko woda zdrobniała.

— Pięknie — powiedziałem do znajomego żurnalisty — ale o czym napiszę swój reportaż?

Odrzekł:

— Czyż nie bardziej żyjesz z tego, czego nie napiszesz?

Janusz Danielak